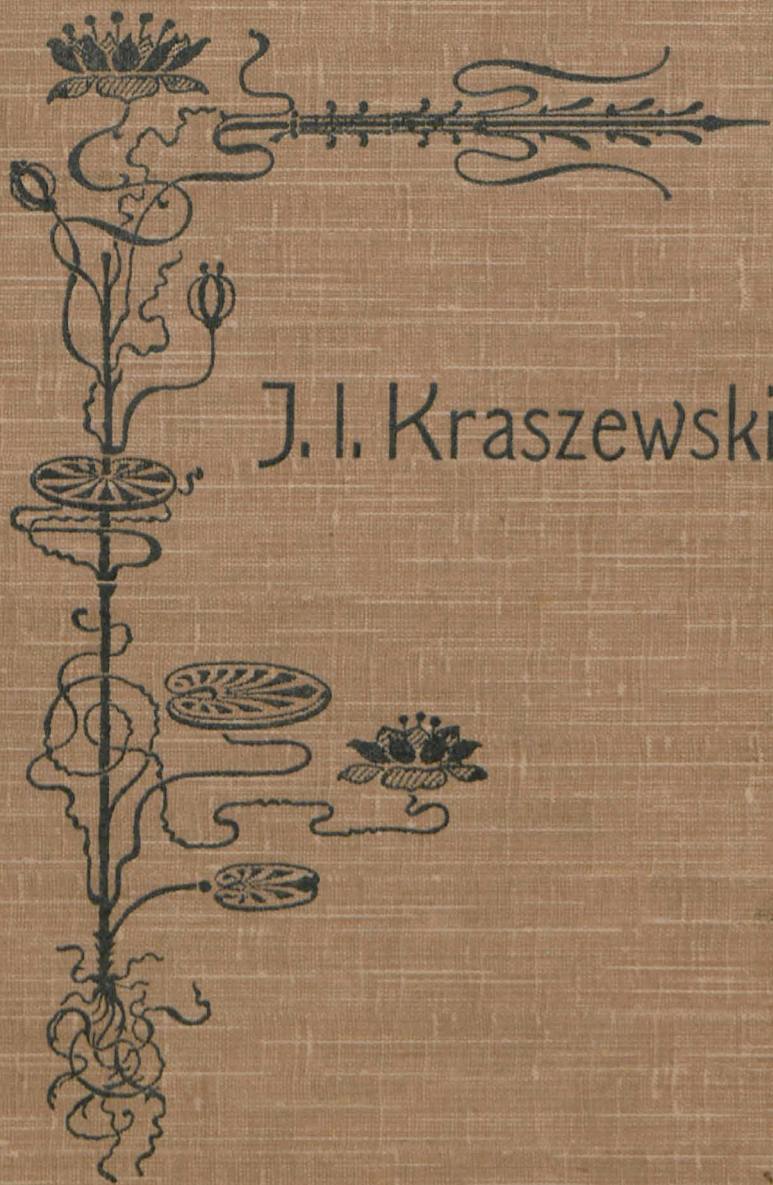




J. I. Kraszewski

DWIE KRÓLOWE.

D. E. FRIEDLEIN
KSIĘGARNIA
W KRAKOWIE.

DWIE KRÓLOWE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Bona i Elżbieta).

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

K. Górski

Tom II.



WARSZAWA.

Nakładem Michała Glücksberga.

1898.

Druk P. Laskauera & W. Babickiego, Ś-to-Krzyzka № 11.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Декабря 1897 года.



MC/M 300

Zbliżała się wiosna i umówiona pora przybycia młodej królowej do Krakowa.

Po dosyć ciężkiej do przebycia zimie, król Zygmunt Stary, jakby odżywiony nadzieją ożenienia, którego tak bardzo pragnął dla syna, czuł się i powiadał silniejszym. Doktorowie znajdowali, że w istocie zdrowie się jego poprawiło.

Biskup Samuel, który codziennie pana swego starego widywał, przypisywał to zarówno zbliżającemu się weselu, którego król wielce sobie życzył, jak zmianie zaszelej w obejściu się z mężem starej królowej.

Niczyjej ona baczności nie uszła, ale ją sobie tłómaczono różnie.

W czasie gdy między Wiedniem, Pragą a Krakowem toczyły się ostateczne układy o owe małżeństwo z młodzieuchną Elżbietą, Bona wszelkimi sposobami przeszkodzić mu się starała.

W jej miejscu pochlebiała sobie, że potrafi wyjednać dla syna francuzką księżniczkę, córkę Franciszka I. Nienawiść jej dla cesarza i dla ojca Elżbiety, przyszłej synowej, podsycana tem, że jej trudności robiono w sprawach posiadłości neapolitańskich, a w Węgrzech i Siedmiogrodzie ukochanej córce Izabelli stawiano zawady w popieraniu interesów małoletniego syna — nienawiść bezsilna, podbudzała do bezroznego szału. Obawiała

się wystąpić jawnie przeciwko cesarzowi dla Baru, przeciwko ojcu Elżbiety dla Izabelli, tem więc zajadłej męża starała się zmusić do zerwania z niemi.

Stary król znosić musiał codziennie wyrzuty, sceny ze łzami i krzykami—wybuchy takie, że Bonę często wynosiły kobiety na rękach, a król po przebyciu takiej kryzys kładł się do łóżka.

Gdy, pomimo wszelkich przestróg lekarzy, powtarzały się ciągle te utrapione waśni, a Zygmunt po raz może pierwszy nie dał się złamać, bo mu szło o cześć, o słowo dane i o piastowaną dawno mrzonkę: ożenienie syna z wnuczką brata, choroba i osłabienie króla znacznie się wzmogły, stały niemal groźnemi.

Później nieco, kiedy nieodwołalnie już termin ślubu i wesela został naznaczony, listy wymienione, warunki wszystkie postanowione, Bona nagle prawie złagodniała, zamilkła, poddała się nieuchronnemu następstwu zobowiązań i, zaprzestała zupełnie napaści i wymówek.

Pokój ten niespodziewany wydawał się rzeczą tak nienaturalną dla tych, co znali upór Włoszki, iż co chwila spodziewano się powrotu wojny. Tymczasem królowa pozostała całkiem spokojną.

Przychodziła codziennie do męża ze sprawami różnemi, troszczyła się wielce o jego zdrowie, sprawy małżeństwa nie poruszała nigdy, a jeśli wypadkiem potrącono o coś będącego z nią w związku, zaciniała usta, zmuszała się do milczenia.

W prostocie ducha król Zygmunt niezmiernie uradowany tą poprawą, przypisywał ją jedynie okazanej stałości charakteru.

Wdzięczny był niewymownie żonie, że wojny zaprzestała i doznany zawód starał się jej wynagrodzić ulegając we wszystkich innych sprawach, czyniąc jej ustępstwa chętne, a nawet przeciwko Maciejowskiemu często skłaniając się na jej stronę.

W istocie, Bona teraz chodziła tak spokojna, zre-

zygnowana, jak gdyby z myślą tego związku zupełnie się przejechała.

Jedni z królem razem cieszyli się z tego, drudzy, jak Maciejowski i Boner, nie dowierzali pokojowi. Pan kasztelan biecki powtarzał księdzu Samuelowi:

— Mówcie co chcecie, to podstęp... ja się go boję. Najstraszniejszy mi nieprzyjaciół, kiedy się przychazi... a znając naturę Włoszki, można się spodziewać, że nie darmo wymogła na sobie tę pokorę.

Mota ona coś i czeka.

— Ale cóż? — odpowiedział ks. Samuel. — Gdy się raz pobiorą, co ona im zrobić może?

— Nie wiem — mówił Boner — ale o tem przekonany jestem, że królowa nie dała za wygraną. Trzeba się więc, nie zaniedbując, mieć na baczności i nie otrąbywać zawczasu zwycięstwa.

Podskarbi miał pewne oznaki, z których wnosił niepłonne, że to, co się nazywało spokojem i zgodą, było tylko *treuga*, rozejmem, służącym do zebrania sił i przygotowania oręża.

Z obowiązku swojego codzień bywając w zamku, ocierając się o ludzi, których sprawy pieniężne czyniły zależnymi od niego, Boner miał sposobność więcej się dowiadywać niż inni. Bystrzejszym też był może w rozpoznawaniu czynności, które drudzy obojętni sądzą.

Wiedział dobrze, iż królowa, zwykle tylko pobłazająca miłostkom syna, gdy one nie wychodziły za obręb jej fraucymeru, ale zachowująca pewne *decorum* i nie mieszącą się do tego czynnie na pozór, teraz prawie jawnie opiekowała się Dżemmą i posiłkowała synowi do zawiązania z nią, w przededniu ślubu, jak najściślejszych stosunków.

Do tych nie tylko że przeszkód najmniejszych nie było, ale matka je widocznie osłaniała jak najtroskliwiej, a miłość jej dla pięknej Włoszki rosła tak, że w całym dworze zazdrość obudzała.

Chociaż miłości były niby okryte tajemnicą, wiedział o nich cały dwór, a Dżemma, dumna przywiązaniem Augusta, nie wstydziła się wcale okazywać, jakie miejsce w sercu jego zajmowała.

Uderzało i to, że skąpa zwykle królowa dla Włoszki nie nie żałowała, obsypywała ją darami, stroiła, okrywała klejnotami, a synowi dostarczała pieniędzy dla zaspokojenia najdziwniejszych fantazyi ukochanej.

Wszystko to w pierwszych miesiącach 1543 roku stało się tak bijącym w oczy, iż Boner, zebrawszy dużo wiadomostek na poparcie swego twierdzenia, jednego dnia, widząc króla zdrowym i silniejszym, odważył mu się o tem napomknąć.

Z twarzy Zygmunta, która się bardziej jeszcze niż zwykle zasępiła, mógł się przekonać, że dotknął przedmiotu wielce niemiłego.

Król wysłuchał, chociaż dawał oznaki niecierpliwości, a gdy Boner dokończył—rzekł: że wszystko to za wielce przesadzone uważa.

— Wszyscy wy nie dowierzacie królowej—mówił dalej—a ja powiadam wam, iż nic złego na myśli nie ma. Słaba dla syna, bo go kocha, ale małżeństwu przeszkadzać nie będzie, bo się przekonała, iż wszystko to byłoby napróżnem.

Boner spełniwszy obowiązek nie nalegał, ale król, choć oświadczył mu, że nie wierzył doniesieniom, wziął rzecz do serca, gryzł się jakiś czas; naostatek trzeciego dnia rano, gdy Bona przyszła go pozdrowić, wystąpił z tem, ażeby swoje dziewczęta miała na oku i trzymała surowo, gdyż plotki chodzą, że młody król miłości tam zawiazuje; a gdyby o tem wieści doszły do królowej Anny, w chwili gdy tu córkę wysyłać miała, mogłaby się niepokoić.

Bona, która długi czas była spokojną, wybuchnęła nadzwyczaj gwałtownie, obwiniając swych nieprzyjaciół

o potwarz, męża o łatwowierność, i wybiegła płacząc i trzaskając drzwiami.

Zarządziła natychmiast poszukiwania, kto w tych dniach u króla bywał i mógł mu donieść o Dżemie. Podejrzanie padło na Bonera.

Zapisaniem mu to zostało zapewne w jego rachunkach, lecz dalszych następstw zaraz nie miało. Król milczał, Bona gniew stłumiła w sobie, a w postępowaniu młodego króla z Włoszką, na włos się nie nie zmieniło.

Zygmunt nie wznowił niemiłego przedmiotu.

Codzień za to sam dawał coraz nowe rozporządzenia dotyczące się przyszłego wesela, które chciał aby było wspaniałem i świetnem.

Pamiętał nawet o woźnikach do kolebek, o kolebkach samych. Życzył sobie może, aby stara królowa sławną swoją całą srebrną kolebkę szkarłatnym aksamitem wybitą dała do wjazdu dla młodej królowej, lecz się okazało, że była połamana, w naprawie, a ci co koło niej pracowali, tak rychło jej wystroić się nie obiecywali. Nie nalegano więc, i trzeba się było obejść innemi.

Ucichło potem.

W mieście i na zamku wiedziano o tem, że stojący przy królu starym, w myśl jego wcześniej starali się na uroczysty wjazd młodej królowej przygotować pocztę jak najświetniejszą. Ks. Maciejowski, hetman Tarnowski, pan Andrzej z Górki, pan kasztelan biecki, nie licząc innych, teraz już zakupywali barwy, szyć kazali, aby wystroić swe dwory z niewidzianą okazałością.

Zbroje, rynsztunki, sprowadzano z zagranicy.

Na przekorę temu przepychowi, w początku królowa, jak odmówiła swej srebrnej kolebki, tak chciała, aby jej przyjaciele jak najskromniej i wcale się nie wysilając tylko z konieczności wzięli udział w tym wjeździe, który chciano uczynić tak świetnym.

Ale tu, Gamrat stanął na przeszkodzie. Nowy człowiek, który zarazem trzymał dwie najbogatsze stolice bi-

skupie, z ich dochodami, nie mógł na to pozwolić, aby go inni zaćmili, iżby on przy nich stanął ubogo i skromnie.

— Nie może to być—zawołał, przybywszy do królowej.—Wojna wojną, a tam gdzie tysiące oczów patrzeć na nas będzie, nie możemy się wystawić na pośmiewisko.

Niech inni czynią co chcą, ja oświadczam wbrew miłości waszej, że nie tylko jak największy poczet postawię, ale go wystroję jak najkosztowniej, choćby mi moje srebra zastawić przyszło. Nie dam arcybiskupa-prymasa na uragowisko... Kmita sobie postąpi wedle myśli swej, chociaż sędzę, że i on się tu zatrzeć nie dopuści... ja nie mogę! Zowią mnie tu wszyscy plebejuszem, co bez butów przybył z Podgórze, choć Gamratowie starą są szlachtą, nie gorszą nad innych. Otóż im pokażę, że potrafię i nie pożałuję wystąpić.

Taka była powaga Gamrata i wiara królowej w słowo jego, że Bona się nie sprzeciwiała. Ona sama postanowiła się nie wysilać wcale, ale nie chciała bronić drugim, postąpić jak sami życzyli.

Ks. arcybiskup nie tylko że chciał wystąpić, ale postanowił zagasić najmożniejszych, i gdy inni po kilkudziesięciu, po stu lub mało co więcej ludzi przygotowywali do wjazdu, Gamrat zapowiadał, że zbierze ich do trzechset.

Nigdy może w Polsce, jakieśmy już mówili o tem, stroje nie były bardziej urozmaicone, jak w końcu XVI wieku i począwszy od tej epoki. Właśnie ten wjazd dla cudzoziemców miał być powodem podziwienia razem i szyderstwa, bo niemal każdego pana poczet inaczej strojono. Gamrat swój miał ubrać po polsku.

Inni silili się na najniezwykniejsze ubiory od stradyotek począwszy, do długich opończy moskiewskich i kołpaków, do tatarskich, tureckich, hiszpańskich, niemieckich, węgierskich przybrań.

Barwa czarna była w wielkiej modzie, lecz na uroczystość tę jaknajjaskrawiej się stroić miano, a szkarłat nade wszystko miał górować. Oprócz sukni i zbroi, które

musiały być szmelcowane i złoczone, a tych trzeba było szukać za granicą, bo ich mało w kraju robiono, same konie i sprzęże poszóstne a poczwórne, które dobierać musiano, stanowiły i trudność wielką i wydatek nie mały.

A że koń każdy musiał iść pod bogato szytą deką, zawczasu więc dniem i nocą haftowano je złotem i perłami, tak, że niektóre z nich niemal równie bogato, jak ornaty kościelne, wyglądały.

Tylko Bona jedna najmniejszych przygotowań niezwykłych nie czyniła.

Chłubić się nawet nie chciała z tą swą sławną kolebką srebrną, o której wyżej, i nie myślała jej światu okazać.

Plómaczyła się tem, że ona i król na synową oczekując w zamku, całe się o zjazd troszczyć i uczestniczyć w nim nie potrzebowali.

Co się tyczy młodego króla, szczodra dla niego w innych razach matka, ścisnęła dłoń.

— Ci co cię żenią gwałtem, niech do wesela pomogą—rzekła. — Ja go nie życzyłam, nie chcę i nie myślę się na to ekspensować.

Gdy podskarbi Boner doniósł o tem królowi, Zygmunt mu polecił, aby nie skapiąc, dostarczył Augustowi wszystkiego czego mógł potrzebować, aby wystąpił godnie siebie i jak najwspanialej.

Miano na ten cel i klejnotów ze skarbcza pożyczyć, i zakupić co była potrzeba.

Podskarbi poszedł sam się w tym przedmiocie naradzić z młodym panem, ale znalazł go tak nieśmiałym, niepewnym, wahającym się i widocznie z obawą oglądającym na matkę, iż sam musiał większą część niezbędnych przygotowań obmyśleć.

August nie sprzeciwiał się, ale stawiał z obojętnością uderzającą — i nieustannie odwoływał się do matki. Był widocznie jeszcze pod silniejszym wpływem jej niż zwykle.

Boner dobrze to zrozuwiał, nie wahał się wziąć na siebie wiele. Jak zwykle Bona wiedziała o wszystkim, co mówiono i postanowiono u męża, co przygotowywano, kto był najczynniejszy, ale nie stawiała przeszkód.

Ostrościła się najdziwniejszą obojętnością pozorną, jakby ją to wszystko nie a nie nie obchodziło.

Ci, co z twarzy młodego króla chcieli czytać wróżbę jakąś przyszłości, nie wiele mogli w niej znaleźć. Zawsze wobec obcych panem siebie będąc, milczący i dosyć zamknięty, król młody okazywał się ostygiłym, zimnym jak matka.

Powoływany często do ojca, który starał się go ożywić i natchnąć tą miłością dla Elżbiety, jaką on sam miał dla niej, August słuchał go z poszanowaniem, oświadczał się z gotowością spełnienia rozkazów, ale nie spełniał w niczem.

Wszystkie wieczory do późna spędzał zwykle albo sam na sam z Dżemmą, lub u matki. Naówczas Włoszka wystrojona powoływana była na pokoje, i gdy Bona rozmawiała z Gamratem, ze swemi przyjaciółmi i protegowanemi, młody król mógł swobodnie w drugiej komnacie siedzieć z Dżemmą, której parę panien towarzyszyło, ale miały rozkaz stać na uboczu.

Czasami wieczorem sprowadzano włoskiego lutniście, śpiewaka jakiego, lub jedna z panien popisowała się nucąc włoskin pieśni. Czas więc upływał tu mile i bardzo szybko, a dla Bony może za prędko, bo potrzebowała się przygotować do wojny. A choć pożądała jej i uważała ją za nieuniknioną, wiedziała, że będzie upartą. Gromadziła więc sprzymierzeńców gdzie i jak tylko mogła.

Plan postępowania zawczasu był osnuty: Bona postanowiła syna trzymać jak najdalej od żony, niedozwolić mu ani się z nią poznać lepiej, ani pokochać. Miłość dla Dżemmy służyć miała do odparcia tej, której się obawiała.

Znał bardzo dobrze syna, iż łatwym był do zajęcia się kobietami, że nowość dla niego stanowiła ponętę; obawiała się więc Elżbiety, o której wiedziała, że była młodziuchną, najpiękniejszą z córek królowej Anny, bardzo starannie wychowaną i pełną uroku.

Unosił się nad tem jej wdziękiem wielki znawca niewieściej piękności Dantyszek, świadczyły przywożone portrety, które Bona rzucała precz z gniewem.

Jeden z nich przeznaczony dla syna, nie mogąc go odebrać, Bona zakryła tak, aby nie miał na oczach.

Wybór Dżemmy z pomiędzy mnogich dziewcząt Włoszek i Polek fraucymeru królowej, dowodził bardzo trafnej znajomości serca ludzkiego. Włoszka była rozmarzona, rozkochana w istocie w królu, a namiętnie mu oddana.

Kochała go nie jako przyszłego mocarza i pana, ale jako młodego, pięknego chłopca; a nie tak nie przywiązuje jak miłość.

Ani piękność, ani talenta, ani żaden urok w świecie nie ma tej potęgi, jaką władza uczucie. Ono wywołuje wzajemność.

Dżemma od lat wielu dorastając, patrzyła na królewicza jak na ideał, rozmiłowaną w nim była daleko wprzód, nim on to postrzegł, gdy jeszcze bawił się z Bianką i innemi dzlewczętami, które wprędce rzucił dla coraz nowych. Dżemma nie miała ambicji, nie rachowała na żadną przyszłość, potrzebowała być kochaną...

— A potem?—pytała ją szydersko Bianka.

— *E poi? morir!* (a potem, umrzeć!)—odpowiadała Dżemma, mężnie jej patrząc w oczy.

Miłość tę swą pierwszą wzięła Włoszka z pieśni, z poetów, z powieści, z własnego wreszcie serca i temperamentu. Nie była nigdy ani płochą, ani zalotną.

Lubiła wszystko co piękne, co wielkie, szlachetne, lubiła wytworny strój i starała się być czarującą, ale tylko dlatego, aby godną była wyboru Augusta.

Teraz, gdy ją nareszcie spotkało to szczęście niewysłowione, że on ją kochał, reszta świata, wszystko znikło z jej oczów. Widziała tylko jego jednego i siebie... nie ją nie obchodziło. Gotową była cierpieć, być prześladowaną, byle on jeden nie zmienił się dla niej.

Bona może w tę namiętność nie wierzyła, bo wcale się jej nie lękała, a można było nastraszyć się ztapiwszy w to serce, które patrzyło w przyszłość, w śmierć, w męczarnie, nieustraszone niczem.

Zygmunt August zawczasie zużyty miłostkami, które dla niego spowszedniały, w tem nowem przywiązaniu odżył i odmłodził.

Nie był to stosunek do żadnego z poprzedzających podobny, tak jak Dżemma do żadnych z dziewcząt zapomnianych podobną nie była.

Pomiędzy niemi, z tym diademem miłości heroicznej na czole, występowała jak królowa. Nie kryła się, nie wstydyła, nie rachowała z niczem.

August też, choć wystygły, chwilami przy niej czuł powracającą młodość, i miłość jego rosła razem z doznaniem szczęściem niespodzianem.

W początkach kwietnia nadzwyczajny ruch tych przygotowań całe miasto zaprzętało; nie mówiono o czem innem, nie widać było nic innego nad tę gorączkę popisu, z jaką Kraków chciał wystąpić. Wiedzano dobrze, iż na dworze cesarkim o przyjęciu królowej będą zawiadomieni z najmniejszymi szczegółami, szło o to, aby stolica Polski i monarcha, który tak wysoko stał w szacunku powszechnym nie zostali upośledzeni.

Nie mógł naówczas gród podwawelski iść w porównanie z Wiedniem, a nawet z Pragą, ale mieszczaństwo tutejsze uboższem nad innych nie było i barbarzyńskim okazać się nie chciało.

Tak samo magnaci i duchowni, prawie wszyscy

bez wyjątku, wychowani i obeznani z obyczajem zagranicznym, z Włochami, Niemcami, Francją, mniej cywilizowany nad inne narodem w obyczaju być nie chcieli. Może aż nadto też starano się o nadanie wjazdowi barwy obcej, a najmniej chciano go polskim uczynić. Z pocztów pańskich kilku zaledwie charakter ten miejscowy zachowało.

Na ratuszu rozprawiano i rozglądano się w podarkach dla młodej królowej, gdyż miasto nie mogło obejść się bez nich, a ubogo się okazać wstyd było. Klejnotów ofiarować nie mogło, zgodzono się na kosztowne wyłancane naczynia i misy, których robota więcej od kruszców warta była.

Podskarbi sam je wybierał.

Całe to tak żywe zajęcie rozbijało się jak fale morskie o skałę, o wyrachowaną oziębłość Bony. Nie chciała widzieć nic, choć o wszystkim była zawiadomiona, udawała obojętną, głuchą i ślepa.

Ilekróć przyszła do króla i trafiła tu na rozmowę o przygotowaniach, bo stary Zygmunt tak się niemi zajmował, że nawet suknię syna, jaką miał włożyć dla powitania żony, sam chciał oglądać i rozkazał, aby była niemieckim krojem, choć August życzył sobie włoskiej. Ilekróć trafiła na taką rozmowę, Bona rozpoczynała o czem innem, a spytana o zdanie, zbywała potrząsając głową milczeniem.

Zygmunt August też, aby matce się przypodobać, która mu teraz szczególną miłość okazywała, a może zajęty mocno Dżemną, zachowywał się zimno i obojętnie.

W tem usposobieniu utrzymywał go przy boku będący Opaliński, który służył interesom Bony. Ten, ilekróć sam na sam był z królem, rozpoczynał uzalać się nad losem jego, nad narzuconem mu małżeństwem z chorowitą i dziecinną królową, z którą pożycie szczęśliwem być nie mogło.

August słuchał najczęściej nie odpowiadając, lecz powtarzane te ubolewania powoli czyniły na nim wrażenie.

Im bardziej zbliżał się czas,znaczony na przybycie królowej, tem Bona niepostrzeżenie miłość ku Dzemmi podsycać się starała i czyniła namiętną.

Nie występowała czynnie, używała ku temu najrozmaitszych sprzymierzeńców, najczęściej takich, którzy sami może nie wiedzieli, iż narzędziem jej byli. Mieszkanie Włoszki stało się dla panien dworu, dla ochmistrzyń obu prawie niedostępnem; August w każdej porze mógł tu przyjsć nie obawiając się spotkać z nikim; Dzemma wymykała się często wieczorami do pokoiów młodego pana. Opaliński pilnował, aby się tu z nikim nie spotykała.

Cóż dziwnego, że w młodej parze miłość ta, dla Dzemmy pierwsza w życiu, dla króla najgorętsza z tych, jakie prześnił, dosięgła do błęgiego jakiegoś szału i zapomnienia.

Z takim uczuciem w sercu, któż myśli o przyszłości? kto pamięta na jutro?

Gdy August smutniejszy czasem przychodził do matki, Bona tłumaczyła natychmiast smutek ten ożenieniem i pocieszała go zapewnieniami, że tę natrętną małżonkę potrafi zdala od niego trzymać.

— Panowie polscy dla swoich jakichś rachub mogli ci niemilią narzucić małżonkę... niechaj się nią nazywa, ale żyć z nią nie masz obowiązku; a przywiązać się do chorej, do ciągle zagrożonej, ciągle potrzebującej leków, niepodobna. Szczęście możesz znaleźć gdzieindziej...

Miedzy Krakowem a Wiedniem ciągle trwała prawię tycząca się ożenienia korespondencya, z obu stron pełna najuroczystszych zapewnień przyjaźni, szczerą ze strony starego Zygmunta, który w istocie Elżbietę, wnuczkę po bracie, kochał sercem ojcowskiem. W Wiedniu jednak przez tych, którzy do Krakowa jawnie i potajemnie dojeżdżali, przez Herbestaina i innych

wysłańców doskonale wiedziano jak na dworze polskim rzeczy stoja. Cesarz i król ojciec nie wyobrażali sobie tylko, ażeby Zygmunt mógł względem żony być tak słabym, i rachowali zbyttnio na jego opiekę. Oprócz tego ojciec Elżbiety dla Izabelli w Węgrzech mógł wiele, musiała go Bona oszczędzać, a cesarza dla neapolitańskich posiadłości.

Obu jednak przebiegła pani spodziewała się pozorami uwieść, a na swoim postawić.

Dlatego usuwała się od wszystkiego. na pozór nie czyniła nic, a posługiwała się narzędziami... aby tego co zajdzie, wyprzeć się mogła.

Gdy się to działo w Krakowie, nieszczęśliwy Dudycz, o którym zupełnie zapomniano, siedział na pokucie w Wiśniczu, i byłby może tam pozostał niewiedząc jak długo, gdyby w końcu nie odważył się drukowanemi głóskami najdziwaczniejszego listu wystylizować do Bonera, o litość go prosząc.

Podskarbi wpółzartem szepnął o tem staremu królowi i prosił go, aby on Bony o dworzanina swego spytał, a o powrót się dopomniał. Boner dodał śmiejąc się, że zesłano Dudycza dlatego, aby miłostkom Augusta nie był na przeszkodzie.

Zygmunt, choć powierzchowność Dudycza nie zdawała mu się dla nikogo niebezpieczną, przy pierwszym spotkaniu królowę zagadnął o dworzanina i dodał:

— Jest mi potrzebny...

Bona teraz go sobie dopiero przypomniła, a że wcale już się teraz natręctwa z jego strony nie obawiała, posłała do Kmity, aby jej gońca napowrót z listem odprawił.

Groziło już Petrкови na tem wygnaniu, że się na piwie marszałkowskiem mógł rozpić, bo nie mając nic do czynienia, zimnego i grzanego nadużywał, gdy szczęściem Białý przyszedł do niego z wesolą nowiną, że list dziś otrzyma i do Krakowa powracać może.

W godzinę niespełna Dudycz był gotowym i w podróżnych sukniach poszedł do Kmity z pożegnaniem i podziękowaniem za gościnne przyjęcie. Niebawem też, ścisnąwszy rękę Białemu, który, choć z niego drwił, ale się nim opiekował, był już Petrek na koniu i w drodze. Komu innemu możeby to przetrzymanie w Wiśniczu i długie oddalenie od ulubionej, z głowy go i z serca wyrugowało, bo się domyślał, że go od niej chcą odsunąć. Dudycz miał naturę upartą, a jego miłość cała w głowie mieszkająca. Włoszka mu była potrzebną dla popisu przed światem, a że, zdaniem jego, żadna inna jej pod tym względem zastąpić nie mogła, trwał więc uparcie w zamiarze wzięcia jej w spadku po młodym królu.

Być bardzo może, iż w głowie ciasnej Dudycza wspomnienie Kościeleckiego, ożenionego ze Ślązaczką, kochanką Zygmunta Starego, pobudzało go do naśladowania dawnego pana.

Nie miał on nikogo, coby, jak Kościeleckiego bracia, mógł go prześladować za to. Roił zapewne, że Zygmunt August nim i żoną jego opiekować się będzie, a może nawet zrobić go żupnikiem. Wszystko to upór jego wzmagало i najmocniejsze postanowienie zabiegania, aby mu kto Włoszki nie pochwycił.

Jak teraz miał postępować, kogo się trzymać: czy Bonera i króla, czy królowej starej, tego nie umiał rozwiązać jeszcze.

Zaledwie powróciwszy do Krakowa, gdzie się czuł tak szczęśliwym, jakby się na nowo na świat narodził, pobiegł naprzód szukać którego z dworzan dla rozpytania się, co się tu działo.

Nikt prawie mówić z nim nie chciał, tak wszyscy byli zajęci i roznamiętnieni tym wjazdem, w którym brać udział mieli.

Stawił się więc do Bony z listem. Stara królowa nie przypuściła go do swego oblicza nawet, list kazała oddać na ręce swojego kanclerza, a Dudycza odprawiła z niczem.

Od niej pośpieszył do Zemechskiej, która na widok jego ręce załamała.

— Wróciłeś więc żyw! — zawołała.

— Dzięki Bogu — rzekł Dudycz.

— Patrzajże, daj pokój Włoszce, aby cię za drugim razem dalej jeszcze nie zesłano.

Petrek chudego wasa pokręcił.

— Wybili ci ją z głowy? — zapytała Zemechska.

— Nie — stanowczo odparł Dudycz.

Ochmistrzyni się przeżegnała.

— Trwasz przy swoim? — zawołała zdziwiona.

Kiwnął głową Petrek.

— Cóż myślisz?

— To się okaże — rzekł po namyśle stary, przybierając oblicze zagadkowe — o jedno proszę miłość waszą, raczcie mi zachować łaskę swą.

— Ja więcej w tę twoją nedorzeczną sprawę rąk nie umoczę — odezwała się Zemechska. — Nie dokażesz tu nic, a ja się mojej pani narażać nie myślę.

Przystąpiła bliżej do Petrka i szepnęła:

— Król młody na zabój rozkochany w niej, ona w nim... gdzież tu dla ciebie jaka nadzieja.

— Żeni się — rzekł Dudycz.

Ochmistrzyni ramionami ruszyła.

— To co? — zapytała.

Niewymowny Petrek nie chciał się szerzej tłómaczyć, pocałował ją w rękę i poszedł.

Tegoż dnia dano mu w zamku zajęcie, bo teraz wielu potrzebowano ludzi, i nawet taki Dudycz mógł się zdać na coś. Rozumie się, że go do żadnego orszaku nie zaciągnięto, ale na pokojach powierzono pacholęta i wyrostków posługujących pod komendę, część kredensów i sreber do dozoru.

O, te dni wiosenne, te dni młodości, jak to do siebie podobne! Najpiękniejsza pogoda zrana, słońce obmyte rosami u wschodu błyszczy złotem, ani jednej chmurki na niebie lazurówym. Nagle, jak plamka niedostrzeżona zjawia się obłoczek, rośnie i rozciąga się, czernieje, pół niebios objął, zasłonił i zaciągnął całe, burza wre ponad ziemią przeleciała, pioruny biją, wicher obala bory... a z za rąbka chmury widać już szafir pogody, wszystko przeleciało i przeszumiało, słońce śmieje się znowu.

Nie tak-li w młodości zakochanych, pogoda z uraganem się mieniają, łzy z uśmiechami krzyżują ciągle...

Dżemma, choć wychowana pod niebem północy, miała w sobie krew włoską, gorącą, nie mogącą spocząć i ostygnąć. Miłość jej była jak ona: niespokojna, do szału szczęśliwą, do rozpacz w chwilę potem roznamietnioną.

Najmniejsza rzecz starczyła, aby śmiech jej w krzyk się przemienił, szczęście obróciło w zwątpienie. Gdy wieczorem słowy słodkimi ukołysał ją August, a pozoostała potem samą, przychodziło marzenie, nie dając usnąć i w miejscu szczęścia obrazów przynosiło z sobą groźby i postrachy.

Wyobrażała sobie opuszczenie, zapomnienie, zobojętnienie, pogardę. Wszystko to tak żywo stawało jej przed oczyma, że się zrywała z pościeli płacząc, jak gdyby dokonało się już to, czego się lękała.

Nazajutrz rano król znajdował ją z oczyma zapłakanymi, z głową na piersi zwiśłą, jak zwiędły kwiatek... pół żywa...

Potrzeba było nowych orzeźwiających pocałunków, przysiąg i długiego rozpraszania ciemności, które noc w jej sercu nagromadziła. Wracala pogoda, przychodziły uśmiechy, odzyskiwała wiarę, rzucała mu się na szyję, była szczęśliwą, szczęśliwą—na jak długo?

Czasem szczebiotanie ptaszka, niekiedy paplanie

Bianki, przypomnienie słowa jakiegoś nagle brwi jej ściagało, sprowadzało niepokój i burzę.

Wszystko to August znosił z uśmiechem cierpliwym, bo w tem widział dowody przywiązania, które niekiedy bywało jarzmem, ale słodkiem.

W miarę jak kwiecień upływał, Dżemma stawiała się coraz niespokojniejszą i słoneczne dni rzadszemi. Bianka, która tu często przychodziła, znajdowała ją jakby skamieniałą jakimiś myślami i starała się odpędzić chmury, dowodząc, że jej nie były do twarzy. Czasem udawało się tak dobrze rozbawić Dżemkę, że swawoliły jak dzieci, i August je znajdował szalejące po komnatach, co mu się bardzo podobało, bo potrzebował, aby jego smutek coś rozpuściło.

Jednego wieczora Dżemma była przy starej królowej, gdy August wszedł do jej mieszkania, a spodziewając się rychłego powrotu, zasiadł na zwykłym swem miejscu i zapatrzył się w okna, na siną dal pól i lasów. Wtem uchyłono zasłonę i zamiast Dżemmy stanęła w drzwiach Bianka, wspomnienie młodości swawolnej, dziś już obojętne. Bianka zawahała się czy wniknąć miała, wiedziała że Dżemma była straszliwie zazdrosną, ale mógł ją posądzać?

Od tych lat, gdy trzpiotowała czarnooka Włoszka dawała się ścisnąć i całować ledwie dorastającemu Augustowi, upłynęło czasu wiele. Teraz było to dziewczę bardzo dojrzałe, śmiało aż do cynizmu, lekceważące sobie przyszłość, niewiele ceniące ludzi, ale na dnie serca noszące wiele zawiedzionych nadziei i trochę miłości dla istot wybranych.

Taką dla Dżemmy była Bianka, nad którą miała politowanie, bo przewidywała los dla niej taki, jaki samą spotkał—okrutniejszy może, bo w inny ufała i wierzyła.

Ostrzegała często biedną, ale ona słuchać nie chciała.

August zobaczywszy ją, gdy się spodziewał kogo

innego, nie bardzo rad był może, lecz śmiała Bianka weszła.

— Dżemma jost przy królowej—rzekła — a gdym W. Miłość tu zastała — odezwała się podchodząc — bardzo rada, bo dawno noszę na ustach słowo, prośbę, której nie mogłam wypowiedzieć.

August podniósł oczy, był pewny, że chodzi o jakiś podarek, który śmiała dziewczę w imię dawnych wspomnień chce wyłudzić.

— Cóż chcesz, moja Bianco?— zapytał.

— Nie dla mnie — odparła zatrzymując się w pewnem oddaleniu — coś dla Dżemmy bym wyjednać chciała.

— Dla niej? Cóżby to mogło być, czego ona nie chce zażądać sama?

— A! ona tego nie może ani żądać, ani się domyślać—dodała poważniej Bianka i spojrzała królowi w oczy smutnem a surowem wejrzeniem.

— Miłość wasza gotujecie Dżemmie los straszliwy—poczęła powoli. — Ona wierzy w miłość wieczną i ani się domyśla, jak prędko się te pajęczne nici rozerwą. Ze mną było co innego, jam nigdy bardzo nie ufała nikomu, nawet W. Miłości, gdyś mi poprzysięgał kochanie, które w trzy miesiące rozwiało się i znikło... ale Dżemma rozkochana, rozmarzona Dżemma... ją straszny los czeka. Ona sobie może odebrać życie, oszaleć... ja nie wiem. Jeżeli ją kochacie, przygotowujcie ją lepiej zawczasu do tego co nieuchronne. Biedne dziecko!

Westchnęła Bianka. Młody król słuchał zmieszany nieco, przestroga z ust dziewczyny była tak dziwna, że odpowiedzieć na nią nie miał.

— Ja wierzę—dodała Bianka—że wy ją szczerze kochacie dziś, że miłujecie gorąco, że nie chcecie przewidywać jak się to skończy... ale możeż się to inaczej skończyć jak — opuszczeniem! Wam przywiozą żonę

młodą, powoli zyska ona wasze serce. Dżemma znudzi ciągłemi skargami i samą swą natarczywą miłością.

Ze mną było wam łatwo, odwróciliście się odemnie do Maryi, a ja śmiałam się wkrótce do kogo innego, bo mam taką naturę... ale Dżemma kocha inaczej! Ona nie da wam spokoju, bo go sama nie odzyszcze więcej... ona może umrzeć. Jej bogato wydać za mąż nie potraficie, bo ona nieczyją być po was nie zechce. Nie rozżarzajcież tego pożaru, w którym ona spłonąć może. Nie będzież wam żal tej istoty, tak stworzonej do szczęścia i do uszczęśliwiania?

— Ja ją kocham—odparł król zaszępiiony.—Wierz mi Bianco, że wcale się z nią rozstawać nie myślę.

— Ale Miłość Wasza wiesz dobrze, że to trwać nie może—rzekła pośpiesznie Bianka.—Kochaliście nie mówię mnie, ja byłam może dla was zabawką... a Marietta, a Giulietta, a Rosa...

Podniosła rączki trochę duże ale kształtne do góry.

— Królu mój, któż zdobycze wasze policzy! — zawołała.—Przypomnijcie Mariettę! Nie kochaliście jej jak Dżemkę, a przecież...

Nie dokończyła. August oczy spuścił.

— Nie rozumiem czego chcesz odemnie — rzekł sucho.

— A mnie się trudno wytłómaczyć jaśniej—szepnęła Bianka.—Biedna Dżemma, ona tak wierzy! tak ufa! tak jest pewną...

Mówiła jeszcze Włoszka, gdy król dał jej znak, posłyszawszy raczej przeczuł nadbiegającą Dżemkę, która posłyszawszy zdała rozmowę przyspieszyła kroku, leciała zadyszana, zarumieniona, rzuciła się wprost na Biankę, która krzyknawszy uciekła, a potem podbiegła do króla.

Brwi się jej strasznie ściągnęły.

— A! ta podła Bianka!—krzyknęła—korzysta z tego że mnie nie było, aby się zalecać.

Rozśmiał się August, wstając i podchodząc do zagniewanej, którą objął, chociaż odpychać go chciała.

— Bianka, przysięgam ci, mówiła tylko o tobie! — rzekł łagodząc.

— O mnie? to zapewne aby mnie, tak jak ona umie, uczynić śmieszną, aby serce ostudzić? — zawołała.

— Mylisz się, nie masz lepszej nad nią przyjaciółki, brała twoją stronę!

— Przeciwno komu? — krzyknęła Dzemma.

— Przeciw własnym przywidzeniom — dodał król — zdało się jej, że ja cię nie tak kocham jak powinienem.

— Żartujesz ze mnie — rzekła nadąsana Włoszka, łagodniejąc.

— Mówię prawdę — potwierdził król — wierz mi, Bianka jest płochą, ale dobrego serca dziewczyną.

— A ja? — wtrąciła żywo Dzemma — ja zapewne nie płochą, ale złą za to!

August się śmiać zaczął.

— Dziwaczysz! — rzekł.

Wolnym krokiem odstąpiła od niego piękna Włoszka i poszła usiąść na swem krześle. Twarzyczka się jej nie rozjaśniała, milczeli dosyć długo, spoglądając ku sobie.

— A! — poczęła wreszcie nie mogąc się dłużej utrzymać Dzemma — co ja cierpię! Zazdrość mnie spali!

— O kogoż jesteś zazdrośną?

— O tę, która przybywa — mówiła Włoszka. — Wy mnie nie chcieliście pokazać jej wizerunku, chociaż wiem że go macie. Ale widziałam u królowej. Młoda bardzo, piękna.

— Nie tak jak ty!

— Ale ja... żoną nie jestem! — westchnęła Włoszka. — Ona mieć będzie wszystkie twoje godziny, ja kradzione. Przez ten czas, gdy ani widzieć ani słyszeć was nie będę, zazdrość mnie zadławi. Umrę...

Porwała się z siedzenia.

— Nie, nie, tak pozostać nie może — dodała. — Mam do was prośbę, myślę się, mam żądanie, które spełnić musicie. Noszę się z niem.

Spojrzała mu w oczy.

— Spełnisz je? — zapytała.

— Jeżeli jest w mojej mocy — rzekł August.

— Nie, choćby nie było w mocy waszej, musicie wszelkimi sposobami postarać u matki, aby się tak stało jak ja chcę.

August czekał, aby się jaśniej wytłómaczyła.

— Naznaczone będą panny do dworu młodej królowej — rzekła — ja muszę być w ich liczbie, być przy niej i stać na straży...

August ramionami poruszył.

— Abyś siebie i mnie swoją niecierpliwością zdradziła — zawołał — co za myśl dziwna! Stałabyś się niewolnicą...

— Wolę to, niż stać zdaleka, nie widzieć i zagryzać się domysłami — rzekła Dzemma.

— Ja o to królowej prosić nie mogę — odezwał się August — wątpię, ażebyś ty potrafiła, a matka moja nigdy na tę myśl nie wpadnie.

— Nie wiem kto i nie wiem jak się to ma zrobić — odezwała się Dzemma — ale wiem, że ja tego chcę, pragnę, że wszystkom uczynić gotowa, aby się to stało i stać się musi.

Nogami uderzyła w podłogę, śliczne jej oczy spojrzwały ogniszcze...

— Ja się zamęczę domysłami, ja roić będę... i łzami się zalewać — mówiła znowu. — Będąc przy niej, będę patrzyła, będę się poila trucizną, ale ona nigdy tak gorzką być nie może, jak moje marzenia. Któż wie, przy boku królowej potrafię może odstręczyć was od niej.

— Ja jej nie kocham, Dzemmo — rzekł August spokojnie — wiesz o tem...

— Ale ona o twą miłość starać się musi i będzie, temu ja chcę przeszkadzać...

— Dziecko—odezwał się młody król pomilczawszy — z twoim temperamentem, niecierpliwością, narażać się na to, aby twoją i moją tajemnicę natychmiast odkryto.

Dżemma ruszyła ramionami.

— Jaką tajemnicę? — odparła, — Ja nie mam żadnej, i wasza, jeżeliście z waszej miłości dla mnie czynić ją chcieli, dla nikogo nie jest zakrytą. Wszyscy wiedzą, że ja was kocham. Chcę aby to na cztery strony świata otrąbiono na krakowskim rynku... Co mi tam! Tak, jestem niczem więcej jak kochanką młodego króla, ale mam jego serce, a tamta będzie żoną i nie dostanie nic... oprócz pierścionka i zimnej dłoni.

Gdy to mówiła, król wsparty na rękę milczał, słuchał i przestrogi Bianki może mu na myśl przychodziły. Dżemnę trudno pohamować było, a on, łagodny dla niej, słaby bo rozkochany, mniej mógł to niż ktokolwiek inny.

Nie otrzymując odpowiedzi, Dżemma zbliżyła się do siedzącego, położyła mu obie ręce na ramionach, zbliżyła usta do czoła, starała się dobyć słowo, wyjednać obietnicę.

August milczał.

— Mów, dopomożesz do tego? — szeptała — królowa teraz dla ciebie robi wszystko... a ona może co zechce.

— Wiesz, iż ona jak najmniej mięszać się zamierza do tego, co się tyczy młodej pani. Chce pozostać z daleka i obcą—mówił August pocichu. — Na przekór jej sprowadzono moją narzeczoną; miała zamiary inne...

— Tak, ale nawet nie będąc czynną, królowa może wszystko—mówiła uparta Włoszka.—Stary król aby ją zaspokoić na wiele się zgodzi, a wielką to rzecz jedną dziewczynę we fraucymerze pomieścić?

— Z ręki mojej matki? obawiać się jej będą — rzekł król—tembardziej gdy, jak sama powiadasz, wszyscy wiedzą, że ja kocham ciebie. W ostatku, królowa Elżbieta prowadzi z sobą Niemki swoje, ochmistrzynię własną, cały dwór.

— I wy ją otoczoną temi obcemi zostawicie, aby one spiskowały?—zawołała Dżemma.

Przerwała nagle, odstąpiła kroków kilka.

— Powiedziałam wam co mam na sercu; jeżeli mnie kochasz, uczynisz, postarasz się zrobić co Dżemma pragnie... lub twoja Dżemma powoli wyschnie i umrze z zazdrości i gniewu, gdy nie widzieć, niczemu zapobiedz nie będzie mogła.

— Gorzej jeszcze męczyłabyś się—odparł król — patrząc, widząc i nie mogąc nie.

— Ja lepiej wiem, czego i dlaczego żądam — odezwała się Włoszka—a od tego nie odstąpię! nie!

— Ale to jest niepodobieństwem!

Zatkała sobie uszy Dżemma i odbiegła kilka kroków.

August się zasępił—rozmowa przerwała.

Postrzegła wreszcie Włoszka, iż zły humor, który dziwaczne jej żądanie wywołało, potrzeba było rozpuścić... Siadła na podnóżku przy królu, położyła główkę na jego kolanach, i oczyma szukała jego wejrzenia.

Zaczęli szeptać pocichu.

Zapukano do drzwi zlekka. Zerwała się Włoszka gniewna. Od komnat wewnętrznych przychodziła Bianka, niosąc na srebrnej misie łakocie, wodę i wino.

Podawano je zwykle w tej godzinie.

Bianka zmierzyla wzrokiem oboje, uśmiechnęła się do Dżemmy i szepnęła jej na pociechę, że sama królowa przysłała owoce i cukry.

Lecz dzień to był, w którym się krzyżowało wszystko i Bianka jeszcze nie wyszła z pokoju, gdy do drugich drzwi zapukano, a z samego uderzenia w nie, domyslił

się August, że ktoś przychodził do niego. Wyjrzał przez drzwi. Stał za niemi Opaliński.

— Stary król was wezwać kazał — odezwał się zeicha.

Godzina niewyczałujana była — ale teraz tyle drobnych spraw nieustannie się nastęczało, że niczemu się dziwić nie było można. W istocie, Zygmunt korzystał z tego, iż mu doniesiono, że Bona była z Gamratem na radzie, chciał ze synem rozmówić się sam na sam.

Pomiędzy synem a ojcem stosunek nie był nigdy zbyt poufale — Zygmunt, pamiętny własnej młodości, znajdował obowiązkiem być dosyć surowym dla jedyne- go, którego kochał, nad którym czuwał, ale okazywać mu zbytnej czułości się obawiał. Powaga ojcowska, którą utrzymywać się starał, cierpiałaby na tem, zdaniem jego. Gdy przed nim zbyt wychwalano Augusta, najczęściej powtarzał to, co mu później w usta kładną.

— Zostawcie też co naganić.

Im bardziej pieściła Bona, tem król był zimniej szym, lękał się zbytnej rozmiękczenia tam, gdzie męzka siła i wola były niezbędne.

Gdy Zygmunt raz rozkazał i objawił, czego żądał, nie było żadnych wymówek. August posłusznym być musiał.

Domagano się teraz dla dwudziestokilkoletniego pana więcej swobody, jakiegoś w rządach udziału — ojciec się na to nie zgadzał. Obchodził się zawsze z synem jak z wyrostkiem.

W sercu Augusta poszanowanie dla ojca było wielkie — miłość obudzić się nie mogła, zwłaszcza gdy Bona tłumić się ją starała w zarodku, zawsze we własnym interesie, stając po stronie dziecka przeciw ojcu.

Idąc do ojca przewidywał August, iż rozmowa dotyczyć się będzie tego, około czego teraz obracały się wszystkie rozmowy, małżeństwa; lecz najdrobniejszy szcze-

gół ubioru, koni, powozu, mógł być powodem do wezwania. Nie przywiązywał do niego zbytnej wagi.

Godzina była wieczorna, stary Zygmunt spoczywał już na łożu swem i jeden dworzanin stał u drzwi, który na znak dany przez niego natychmiast zniknął.

August ucałował rękę ojca, który mu się przypatrywał długo, bacznie, nim mówić począł.

— Listy dziś z Wiednia nadeszły — rzekł powoli, rzucając słowo po słowie. — Elżbieta wkrótce wyrusza w podróż. Jest to chwila w życiu twem ważna, o przyszłości stanowiąca. Bóg świadek, że dla przyszłego szczęścia twojego uczynił co było w mej mocy. Żonę mieć będziesz wychowaną pod okiem dostojnej matki, dziecię miłe, łagodne, posłuszne... kochać je i z miłością przyjać potrzeba.

Stary król westchnął.

— Matka ma uprzedzenie, nie lubi jej, nie życzyła sobie — ciągnął dalej — wiem o tem i spodziewam się, że się to odmieni. Nie dajże w siebie przelać tych uprzedzeń i niechęci.

August stał słuchając niemy.

— Z tego dziecięcia — mówił stary — bo to jeszcze jest niemal dziecię, wszystko uczynisz co zechcesz... Bierzemy je i za szczęście jego jesteśmy odpowiedzialni. Rozumiesz?

Syn skłonił głowę.

— Nie daj się zniechęcić zawczasu — dodał ojciec.

Nie było odpowiedzi. Zygmunt Stary dużo mówić nie lubił, zamilkł patrząc na syna, który ze spuszczone- mi oczyma stał milezący.

— Miłostkom, które się młodości przebaczały — dodał ojciec — trzeba dać spokój... i o nich zapomnieć. Nie przystałyby dzisiaj, a zatruiły pierwsze stadła waszego poczatki.

I znowu chwila mileżenia przykrego rozdzieliła

mowę Zygmunta, który się namyslał, w syna wlepiając oczy.

— Matka się dąsa, babskie to są kaprysy — rzekł. — Wszystko to przejdzie, minie, zmieni się, gdy ty rozum mieć będziesz... Na tobie teraz wiele zależy. Nie mogła ci się Elżbieta nie podobać z wizerunku, ja kocham ją już jak własną córkę. Nakłoń ku niej serce swoje.

— Nie znamy się jeszcze — szepnął August.

— Pisywaliście do siebie — odparł stary. — Piękna jest, młoda i jak najlepiej wychowana. Niemka, co prawda, ale my z niej zrobimy co zechcemy... to od ciebie zależy... Taką była nieboszczka matka nasza, a daj Boże, aby wszystkie jak ona żonami były i matkami przykładnymi... Nie kochał jej ojciec, gdy się żenił, ale przywiązał potem najczulej i szczęście znalazł w małżeństwie.

Zygmunt westchnął głęboko, przypomniawszy sobie, że on go nie miał, tylko przez ten krótki przeciąg czasu, gdy żył z Barbarą. Drżącą ręką nieznacznie otarł łzę z oka.

— Żądają odemnie Litwini, zyczą sobie i panowie koronni, abym się z tobą władzą podzielił i dał ci zakosztować panowania — mówił dalej powoli. — Chęć abym patrzył i kierował. Zacznijsz od tego, byś u siebie w domu z żoną rządzić się umiał i znalazł potemu wolę własną.

August mógł zrozumieć aluzję do matki, ale podnosić jej nie mógł.

— Spodziewam się po tobie, że mi nie zatrujesz tych dni, które starość czyni ciężkimi do noszenia.

Milczenie przerwało znowu tę naukę ojcowską, która z piersi starego powoli i z trudnością się dobywała.

— Rozpuszczają fałszywe wieści — rzekł ciszej — że Elżbieta jest słabowitą i cierpi na jakąś tam chorobę zmyśloną. Wszystko to są bajki tych, którzyby

radzi serce two od niej odciągnąć. Słyszałeś o tem? — zapytał.

Nie mógł August zaprzeczyć.

— Matka mi o tem wspomniała — rzekł krótko.

— Nie lubi jej, więc przyjmuje wszelkie baśnie, które ją usprawiedliwić mogą — ciągnął dalej Zygmunt. — Ja mam lepsze wiadomości... fałsze to są. Delikatna, wątpliwa, pokrzepić się powinna, gdy się uczuje u nas miłością otoczona. Ja będę jej najczulszym ojcem... a ty?

Dał czas do odpowiedzi. Syn skłonił się.

— Zastosuję się do woli waszej — przebaknął zimno.

— To nie dosyć, nie dosyć — żywo przerwał Zygmunt — musisz ją pokochać z własnej woli, bo na to zaśluguje.

Po ostatnich słowach milczenie nastąpiło tak długie, iż August sądząc rozmowę skończoną, już się chciał oddalić, gdy król rzekł jeszcze:

— Nie daj się powodować babskim intrygom. Staraj się matkę nawrócić, tego oczekuję i wymagam po tobie.

Wyciągniętą rękę ucałowawszy, syn powoli odszedł ku drzwiom i zaledwie je przestąpiwszy, znalazł w drugiej komnacie, jakby oczekującego na siebie biskupa Samuela.

Maciejowski przystąpił do młodego króla z wyrazem wielkiej uprzejmości poszanowania i zatrzymał go, gdy chciał iść dalej.

— Król JMość — rzekł — uprzedził mnie o rozmowie, jakiej sobie zyczył z miłością waszą; zlecił mi też poufnie, abym w tym przedmiocie mówił z wami.

Spojrzeni sobie w oczy. August stał, jakoś biernie się zachowując i raczej gotów do słuchania niż do mówienia. Jagielloński to był obyczaj, bo wszyscy, z małym wyjątkiem, skąpi bywali na słowa. Jeden Jan Olbracht i kardynał różnili się od braci.

— Król stary się tem niepokoi—począł Maciejowski—iż was zawczasu starają się do młodej pani zniechęcić. Dla serca ojcowskiego byłby to cios bardzo bolesny, gdybyście jego miłości dla narzeczonej swej nie podzielali. Król ją kocha jak dziecię własne.

— Wiem o tem—rzekł August—ale odemnie, który jej nie znam wcale, niepodobna wymagać wczesnego afektu.

— Tak, byleby wczesny i nieusprawiedliwiony wstręt go nie uprzedził—rzekł Maciejowski. — Na dworze, a dzieje się to na wszystkich dworach, intryg krzyżuje się mnóstwo, nie dajcie się w nie uwikłać.

— Ja nawet ich nie widzę dotąd—odparł August.

— To może tem gorzej — rzekł biskup z nśmiechem — bo my, co je dostrzegamy, lękamy się ich dla was!

August poruszył uieznacznie ramionami.

— Królowa JMość ma żal do nas wszystkich—mówił ks. Samuel — żeśmy związek z wnuczką króla Władysława popierali, lecz myśmy to czynili stosując się do woli pana naszego. Spełniłmy czego najgoręcej żądał. Małżeństwo ze wszech miar rokuje się szczęśliwem.

August z oczyma spuszczone mi słuchał.

— Nie godzi mi się—dodał biskup — syna przeciwko matce jątrzyć, i niech Bóg mnie od tego uchwowa, lecz królowa czuje się obrażoną, że jej nie usłuchano... to wszystkich przyczyna.

— Ale miłość wasza—przerwał August — zaprzeczyc nie możesz, że matka, równie jak ojciec, pragnęła dla mnie szczęścia; któż dziś może rozsądzić, czy się omylił ojciec czy ona?

— Szczęście to — miłościwy panie — żywo odpowiedział ks. Samuel — zależy zupełnie od was. Wszystko, co je dać może, znajduje się w osobie przyszłej królowej... nie trzeba tylko odtrącać.

— Alem nie zasłużył, aby mnie o to posądzano — odparł August — nie jestemże posłusznym?

Biskup skłonił głowę.

Kilka słów zamienili jeszcze, i gdy młody pan poruszył się jak gdyby chciał odejść, ks. Samuel go nie wstrzymywał. Pożegnali się grzecznie, lecz zimno.

Królowa Bona już wiedziała o synu; na drodze zastąpił mu dworzanin wzywający go do niej. Nie była samą, wieczorni goście właśnie do *Collazione* na sposób włoski zasiadać mieli. Komnata jadalna królowej była oświecona, stół zastawiony i goście już byli przy nim.

Bona była więcej niż rządna, znano jej skapstwo: nie było w podaniu zbytku ani dla oka, ani dla podniebienia. Tylko ulubieniec Gamrat, o którym pamiętano, dostawał wino jakie lubił, łakocie które jadał i przysmaki dla niego przeznaczone. Królowa nie lubowała się zbyt w jedzeniu, a wówczas już poczyniała być cierpiącą. Siedziała za stołem, mając u krzesła swego dwie panny, a jedną z nich była Dżemma, która po chodzie poznawszy Augusta, odwróciła się ku wchodzącemu i pierwsza powitała go wzrokiem śmiało zmierzonym ku niemu.

Obok Gamrata siedziało dwu starszych urzędników. Biskup, od niejakiego czasu ponury i smutny, teraz też rozchmurzyć się jeszcze nie mógł i siedział posepny.

Bona przypisywała to Sobockiej, chociaż nikt właściwie przyczyny tej zmiany humoru odgadnąć nie mógł. Kto dawniej znał wielomównego, wesołego, ożywionego, aż nadto wesołości i zaufania w sobie okazującego Gamrata, teraz go ledwie mógł poznać w surowym i milczącym, nagle starzejącym i jakby strwożonym czemś człowieku. Wzrok jego zdawał się widm jakichś szukać dokoła. Pobłażający dawniej dla duchowieństwa, stał się teraz nad miarę surowym i ścisłym w przestrzeganiu karności. Słowem Gamrat to był inny. Przywiązanie

jego tylko do królowej i wierna stałość w jej usługach, pozostały jak były. Trzymał stronę Bony we wszystkim.

Widząc wchodzącego młodego króla, podniósł się Gamrat—miejsce obok matki oczekiwało na niego, Bona oczyma już w twarzy syna czytać się starała, co z sobą przynosił.

Zaledwie usiadł, Dzemma pośpieszyła podać mu wodę i ręcznik, ale młody pan jeść nie chciał i podziękował jej za nie.

Matka schyliła się ku niemu.

— Byłeś u ojca?

Tu się posypały zapytania, a biskup nachylony słuchał razem z królową odpowiedzi. Ale August zbył krótko, mówiąc, że ojciec zwykle mu powtórzył nauki i przestrogi.

Z zaciśniętymi ustami i szyderskim twarzy wyrazem słuchała Bona, zdając się mówić: Naprawdę walczyć myślicie ze mną!

Dla Gamrata, a razem dla syna, którego smutek od dni kilku coraz się powiększał, Bona oprócz wieczerzy przygotowywała rozrywkę.

Włoch Monti, sławny muzyk i śpiewak, miał przyjść z lutnią i kilka Canzon odśpiewać. Monti od niedawna przybył do Polski, umyślnie na dwór królewski, spodziewając się czasu wesela dobrego żniwa dla siebie.

Było wówczas w obyczaju, że nie tylko ci co śpiewaka w tym domu mieć chcieli, opłacali go, ale goście dostojni, którym się podobał, obsypywali go podarkami. A że próżność niejednego skłaniała do popisu z hojną ofiarą, śpiewak w ten sposób mógł się dobrze obłowić.

Kilka, kilkanaście dni weselnych, turniejów a po nich uczt zwykłych starczyły, aby długą podróż opłacić i do domu wrócić z zapasem. Dawano pieniądze, pierścienie, łańcuchy, kubki i inne kosztowności.

Monti, Włoch najczystszej krwi, o którego pocho-

dzeniu mówiono różnie, bo go nawet do bardzo świętych koligacyj z lewej ręki liczono, odebrał był wychowanie staranne i miał wszystko co go zalecać mogło, w dodatku do pięknego głosu.

Przedewszystkiem śmiałość i brawurę w występowaniu, wiarę w siebie, a przytem zamiłowanie w stroju i elegancyi. Był to mężczyzna lat około trzydziestu mający, urody pięknej, brunet z czarnymi ognistemi oczyma, z włosami kruczemi w puklach spadającemi na barki. Każdy ruch jego, krok, sposób w jaki wdzięcznie powyginanemi palcami lutni dotykał, ukłon, uśmiech, wszystko było obrachowane załatnie. Stroił się kosztownie, a obcisłe suknie uwydatniały budowę ciała posagową. Oczy też wszystkich, nadewszystko dziewcząt, zwróciły się na czarodzieja, który lutnię niosąc w ręku, krokami tanemistrza zbliżał się do królowej.

Czarny ubiór czynił go smuklejszym jeszcze niż był w istocie i płeć białą podnosił. Na szyi miał łańcuch, dar cesarza, kosztowny, a na stradjocie krótkiej, rzucony lekki płaszczyk. Na palcach błyszczały piękne pierścienie.

Królowej Bonie podobał się nie tylko z głosu i postawy, ale z pochlebstw, któremi ją obsypywał. Zauważył mu się uśmiechnęła.

Cisza nastała w salce, gdy Monti się zbliżył, a gdy na rozkaz królowej podano mu taboret, którego zająć odmówił, najmniejszy szelest ustał, tak że pryskanie palących się świec woskowych usłyszeć było można.

Monti, chociaż na taboręcie byłby może równie malowniczo wyglądał, wolał przecie stać, bo tym sposobem piękna jego figura jeszcze się zręczniejszą wydawała i ruchy, któremi towarzyszył pieśni, miał swobodniejsze. Można było powiedzieć, że nie śpiewał, ale odgrywał swe pieśni, tyle było mimiki w wejrzeniach, w podnoszeniu i spuszczeniu głowy, w wyrazie ust, w gestach rąk, które lutnią to szarpały namiętnie, to dotykały jej zaledwie.

Namiętny śpiew i gra, nie dziw, że na słuchaczach

ogromne czynił wrażenie. Gdy pierwsza pieśń przebrzmiała, pochwałam nie było końca, a artysta wodząc oczyma po przytomnych, odbierał nieskończone dzięki w spojrzeniach ognistych kobiet.

On—on, choć nie gardził i najskromniejszą sympatią, zdawał się głównie dbać o to, aby się królowej stałej i stojącej za nią Dzemmie podobał. Ścigał ją, oblegał swym ognistym wzrokiem, a piękna Włoszka, choć jej to pochlebiało wielce, w końcu czuła się obrażoną i surową ukazała twarz, odwracając od niego oczy.

Po pierwszej Canzonie, poszła druga i trzecia, po smętnej wesołe, po tych figlarne, a w żadnej z nich, jak przewidywać łatwo, nie zbywało na motywie miłosnym.

Monti był szczęśliwie usposobiony.

Gamrat podał mu kubek wina, który on przyklękawszy, spełnił na zdrowie królowej.

I August nieco się rozweselił, słuchając ślicznych śpiewów, które go w jakiś lepszy, jaśniejszy świat przenosiły.

Kwiecień upływał, gdy w Krakowie sposobiono się na przyjęcie królowej, matka i ojciec jej z trwogą oczekiwali dnia rozstania, gdy młodziuchną, słabą, wylekłą istotę mieli oddać w ręce obce.

Spodziewano się wiele po starym królu Zygmuncie, lecz wiadano też zawczasu, jak była usposobiona i co tu znaczyła Bona. Król ojciec tem sobie i matkę pocieszał, że losy córki Bony, Izabelli i jej syna miał w swych rękach, że cesarz brat jego mógł neapolitańskie księstwa podległe mu, jeśli nie odebrać królowej, to zagrozić jej prawom do nich.

Spodziewano się więc tutaj, że młoda pani, mając

opiekę ojca i stryja, musi na dworze polskim dobrze być przyjęta.

Matka, która najczulej do tego dziecka przywiązaną była, obmyśliła też środki, aby młodziuchne dziewczę, nagle się przenosząc w ten świat nieznany, miało u boku troskliwą piastunkę i służbę własną, do której była przywykła.

Elżbieta w istocie potrzebowała tej opieki i czuwania; był to kwiatek zaledwie się rozwijający, ale wątły, blade i trwożliwy. Pieszczoszka i ulubienica matki, ciągle przy niej, nawykła do objawów miłości wielkiej rodziców, potrzebowała jej jak powietrza do życia. Nie zbywało jej na piękności, a nadewszystko na niewinnym, dziewiczym wdzięku, któremu nieśmiałość dodawała wyrazu... Chód jej, wejrzenie, każde słowo zdradzały duszę łagodną, potrzebującą, aby ludzie w obejściu się z nią, poszanować ją umieli. Pragnęła się wszystkim podobać, a nikogo nie chciała zaćmić, tak była pokorną i skromną.

Matka napróżno chciała jej wmówić, aby więcej nabrała odwagi, a mniej się korzyła przed ludźmi, odpowiadała jej uśmiechem i naiwnem słowem.

— Kiedy nie umiem być inną.

I podniosła oczy ku matce, która jej rozczulonym odpowiadała uściskiem.

Elżbietka taką była od dzieciństwa. Więcej energii życzyli jej rodzice, wiedząc o losie jaki ją czekał, ale z wiekiem nie zmieniała się łagodność, nie ustąpiła bojaźliwość. Miała jakby poczucie przyszłych swych losów. W Polsce czekały na nią złota korona Jadwigi, cierniowy wieniec i męczeńska aureola... Wszystkiego byłaby się chętnie wyrzekła, lecz los ją czynił ofiarą, musiała iść jako zakładnik pokoju, przymierza, jako węzeł dwu panujących rodzin.

Z Polski i Herbestein i inni przywozili zatrważające wieści. Ale tu im wierzyć nie chciano, sądzono je przesadzonemi.

Młoda królowa miała oprócz króla, najdostojniejszych mężów w Polsce za sobą. Matkę zastępować jej miała ochmistrzyni, kobieta, na którą najwięcej liczono, energiczna, rozumna, mężna, Kätchen Hölzelinowna. Ochmistrzyni ta, na której rękach wychowała się Elżbietka, pochodziła z rodziny, której kilka pokoleń już służyło na dworze, a przywiązanie jej do wychowanki było macierzyńskie. Niezamężna, sama na świecie Hölzelinowna, nie miała na nim nikogo, oprócz Elżbietki swej i dla niej była gotową poświęcić życie.

Silnie zbudowana, zahartowana latami, czynna, pracowita, Kätchen miała ten spokój siły i ten takt zimny, który w boju szczególnie jest niezbędny. Wiedziała ona dobrze, co ją w Krakowie czekało i zawczasu się zbroidła. Poprzysięgła wczesnie królowej matce, że w żadnym razie, postrachem ani intrygą nie da się odciągnąć od Elżbiety i na krok jej nie odstąpi. Wszystkie zresztą służki, mające towarzyszyć młodej pani do Polski, z równem były dobrane staraniem. Matka na ich wierność i poświęcenie mogła rachować.

Cesarz Karol V powtarzał z dumą trwożącej się bratowej, że przecież synowicy jego nie się złego stać nie może!

A jednak w chwili rozstania, wyjazdu, gdy potrzeba było ruszyć w tę podróż przeznaczenia, polały się łzy boleśne. Król ojciec, oprócz tych, co otaczali córkę, należąc do jej orszaku, potajemnie wysyłał ludzi, aby zasięgnąć wieści, jak tam ją przyjmować się przygotowywano. Wszystko brzmiało jak najpomyślniej.

Ze strony króla Zygmunta nie zaniedbano nic, aby młodej pani na pierwszym kroku dać jak najlepsze wyobrażenie o kraju, który miał być dla niej nową ojczyzną. Wybór nawet pory roku zdawał się mieć na celu, by w majowej zieleni, w wiosennych szatach, młodej królowej Polska wydała się uroczą.

Zajęcie przybyciem Elżbiety, z przykrością dla

Bony, tak powszechnie opanowało umysły, tak się stało gorączkowem, tyle współzawodnictw wywołało, iż ona, która chciała je ignorować, pozostać zimną, bierną, wśród tego poruszenia, znalazła się odosobnioną i czuła jakby straciła na znaczeniu i powadze.

Kmita, Gamrat, Opaliński, inni jawni i potajemni sprzymierzeńcy królowej, w tej chwili razem z jej nieprzyjaciółmi pracowali tylko, aby przy wjeździe uroczystym nie dać się zaćmić.

Codzień przybiegali niemal posłańcy oznajmujący o podróży Elżbiety, o zbliżaniu się jej ku granicom.

Na przyjęcie tu, oprócz wysokich dygnitarzy, król Zygmunt Stary uprosił dwie najdostojniejsze niewiasty, które do ulubionych Bony nie należały. Jechała z dworem liczny żona hetmana Tarnowskiego, Szydłowiecka z domu, i siostra jej księżna na Oleśnicy.

O tem wszystkiem mówiono codzień wszędzie, i w otoczeniu Bony, która słuchała zimno i dosadnie starała się okazywać, że ją to bynajmniej nie obchodziło. Kosztowało ją to wiele, bo zbliżała się walka; do której z namietnością tem większą, iż gwałtem tajoną, przysposabiała się Włoszka.

Dwór przyszedł królowej młodej i króla, do którego wyboru Bona się mieszać nie chciała, przez samego króla został wyznaczony.

Dzemma, która postanowiła się wecisnąć do orszaku młodej pani, z zaciętością starała się przyprowadzić do skutku myśl dziwną, ale spotykała nieprzełamane do tego zawody.

August nie mógł się wstawić za nią, Opaliński się nie ważył. Ochmistrzynie obie lękały się o tem napomknąć Bonie, rozdrażnionej i nadąsanej, nie lubiącej najmniejszej wzmianki o Elżbiecie i tem co się jej tyczyło.

Dzemma rzucała się próżno na wszystkie strony, i w końcu musiała, padłszy do nóg Bonie, sama się ważyć

na to, aby ją prosić o zalecenie młodej królowej do jej orszaku.

Gniewem naprzód wybuchnęła pani, i nierychło się uspokoiła, dając błagać. Dżemma mogła jej być pomocną, lecz zarazem niebezpieczną.

Nie chcąc mówić nawet o tem dłużej, odprawiła ją rozplakaną z niczem.

Ostatnia wiadomość zapowiadała przybycie Elżbiety, po rozstaniu się z matką w Kornenburgu, do Ołomuńca.

Tu na nią posłowie polscy czekali. Panie, orszak przygotowany spotkać miał w Oświęcimiu. Seweryn Boner, w pięknym swym dworze w Balicach gotował się pierwszy pokłonić młodej pani, której sprawą gorliwie się zajmował.

W Balicach, czwartego maja, była już tak jak w Krakowie i tu zatrzymano się tylko, aby na dzień następny ów wjazd, co tyle pracy i zabiegów kosztował, urządzić i zgotować na dzień następny.

Z wyjątkiem pokojów Bony, na których pusto było i cicho, na całym zamku wieczorem, przez noc całą, ruch nie ustawał. Młody król temi przygotowaniami tak był zajęty ciągle, iż do matki nawet zbiedz nie mógł, a Dżemma zapłakana próżno czekała na niego do późnej nocy.

Na każdy szelest w korytarzu zrywając się i biegnąc ku drzwiom napróżno, wracając potem zawiedziona Włoszka na przemiany płakała i przeklinała.

Było już blisko północy, gdy weszła do niej litosiwa Bianka. Ta już była rozebrana jak do łóżka, i narzuciła tylko lekki płaszcz łazienny na siebie, a czarne długie włosy, których związać nie miała czasu, spływały jej na białe ramiona.

Dżemma sukni nawet dotąd nie zdjęła.

Zobaczywszy ją z chustką na oczach, w sznurówce, w pasie i w całym stroju, Bianka rozgniewana, podszedłszy ku niej uderzyła w ręce.

— Dżemmo moja!—zawołała z macierzyńską tro-

skliwością—co się z tobą dzieje! Dziecko nieszczęśliwe, oczy wypłakujesz nadaremnie, gdy ci właśnie najpiększą być potrzeba.

Ale porzuć te łzy Aryadny, bo nie jesteś opuszczoną!

Królowej starej będziesz teraz najpotrzebniejszą, na rękach cię nosić każe.

— Przez cały dzień nie był u mnie!—wykrzyknęła Dżemma, ręce łamiąc—ostatniego dnia, gdy mogliśmy jeszcze być sami.

Bianka słuchała z uśmiechem.

— Bądź pewna, że go za to zobaczysz jutro, bo za tęskni za tobą... ale dziś on sobą nie władał.

Zrzuć te suknie, połóż się. spocznij, abyś była piękną; my dwie musimy gdzieś sobie wyszukać miejsce, z któregośmy wszystko, wszystkich jak najdokładniej widzieć mogły. Nieprawdaż? Stara królowa z zamku się nie ruszy krokiem, a my otrzymamy pozwolenie łatwo.

— Ja nie widzieć nie chcę!—zawołała Dżemma—nie, nie!

— Jakto! nawet twojego króla, gdy będzie śliczny taki paradował na koniu.

— Przy jej kolebce—zawołała Włoszka.

— A tak! i jej powinnaś być ciekawą, jak blada i strwożona jechać będzie na te królewskie gody, które dla niej staną się męczarnią królewską.

Dżemma podniosła się.

— Ostygnij i pomyśl—dodała Bianka.—Co ci może siedzieć tu w kącie, gdy możesz pokazać oblicze i tryumfować, bo nie ma wątpliwości, że jesteś od niej piękniejszą.

Tomek, dworzanin króla, właśnie z Balic powraca, widział ją jak wysiadała do dworu drżąc, iż pod boki musiano trzymać, bo się staniała biedna. A była blada jak ściana i wydawała się chorą, strwożoną, zmęczoną. To dziecko, a ty...

Słuchała Dżemma z zajęciem.

— Wiesz — mówiła Bianka, zwolna poczynając ją rozbierać, musimy się wyprosić na miasto. Znajdziemy dworzan co nas wyprowadzą zawczasu i znajdą w kamienicy pomieszczenie, z którejby widać było dobrze orszak cały.

Monti, piękny śpiewak, który się w tobie kocha...

Dżemma ręką białą zamknęła jej usta. Śmiała się Bianka.

— Nie rozumiem ciebie — rzekła — nie chcesz nawet pozwolić na to, aby się w tobie kochano! Lecz cóż ci to szkodzi? płacić za to nie potrzebujesz. Ja zaś zawsze rada jestem, gdy ich jak najwięcej około mnie biega i oczyma się modli. To obudza zazdrość i miłość jedyną wzmacnia.

Dżemma rozbierała się machinalnie, zadumana i smutna.

— Jedziemy jutro patrzeć na wjazd, czy nie? — zapytała Bianka — mów, bo ja nie wytrzymam. Ja wszystko widzieć muszę. Na zamku zmieszają się poczty, nie zobaczyć nie będzie można. Królowa nam pozwoli. Mówiłam z ochmistrząnią. My tu jutro nie będziemy potrzebne.

Bianka napróżno czekała odpowiedzi, zatopiona w myślach Dżemma, nie słyszała może jej szebiotania. Nagle zwróciła się drgnawszy ku niej.

— Masz słuszność — rzekła żywo — potrzeba nie tylko widzieć jutro, ale się pokazać. Niech August widzi mnie wesołą, aby mu zabolęło serce! Przez cały długi dzień na jedną chwilkę nie wpadł do mnie!

— Rano więc na miasto? nieprawdaż? — odparła Bianka uradowana. — Ja wszystko przysposobię, przygotuję, urządzę i będziemy miały okno najlepsze.

Zaczęły szeptać. Dżemma z gniewem i namiętnością gotowała się do zemsty.

— Uśmiechnę się szydersko, gdy spojrzysz na mnie!

— szeptała ciągle zajęta miłością swoją — bo że spojrzysz, choćby nie chciał, tego ja jestem pewną. Ja czuję zdaleka wzrok i myśl jego, on mój gniew i wejrzenie musi przeczuć.

Ruszyła ramionami Bianka.

Musiła wziąć w opiekę towarzyszkę, nad którą się litowała. Zaryglowała drzwi od korytarza, na którym ruch ciągle słychać było, zgasiła światło, przeprowadziła Dżemkę do łóżka, położyła ją, okryła, pocałowała w czoło i wesoło pobiegła sama odpocząć.

Ale tej nocy mało kto zasnął na zamku. Bianka musiała wstać rano, ażeby sobie i Dżemce zapewnić pomieszczenie w jakiej kamienicy w rynku, dla widzenia orszaku. Nie wątpiła, iż stara królowa na prośbę swojej teraźniejszej faworyty pozwoli na to. Lecz trzeba było użyć kogoś, coby stosunkami lub pieniędzmi okienko od ulicy wyjednał i to takie, którego by się panny królowej wstydzić nie potrzebowały.

Bianka szukała w głowie kogoby użyć do tej spóźnionej negocjacji, gdy jej na myśl przyszedł pocieszny Dudycz, o którego pasy dla Dżemmy wiedzieli wszyscy.

Nie miała nikogo pod ręką, komuby z większą pewnością skutku powierzyć to mogła.

Petrek miał nadzór części kredensów i służby, ale co to obchodziło zuchwałą Włoszkę? powinien był usłużyć, bądź co bądź.

Dniało zaledwie, gdy przyodziawszy się, pobiegła tam, gdzie Dudycza znaleźć spodziewała. Spał on jeszcze na garści słomy w komórce, w której część sreber była złożona, ale, ponieważ go w nocy nawet budzono, na pół ubrany odpoczywał.

— Wstawaj śpiochu! — krzyknęła drzwi uchylając Bianka. — Przychodzę z rozkazem. Nie od króla ani od królowej, ani od marszałka, ale od signory Dżemmy. Jej piękność i moja brzydkość chcemy doskonale się przypaść w wjazdowi, a wasza usłużność powinienes w rynku

dla nas wyprosić lub kupić okno, z którego byśmy i patrzeć mogły i być widziane. A masz wiedzieć, że w la-dajakiem towarzystwie i u małego okienka pannom kró-lowej pokazać się nie godzi!

Nogi za pas! panie Dudycz, w drogę i za godzinę masz się stawić z odpowiedzią: że okno w wieńce ustro-jono, a ławki dla nas kobiercami obleczone.

Petrek zaledwie obudzony słuchał oszołomiony, nie-wiele rozumiejąc w początku, naostatek wiedząc o co cho-dziło, wstał się ubierać, aby zdawszy na towarzysza sre-bra i ludzi, natychmiast biedz na miasto. Rzecz na po-zór łatwa do wykonania, z powodu opóźnienia mogła się stać bardzo trudną; lecz Dudycz gotów był zapłacić, byle ubóstwianej rozkaz został spełniony.

Jakoż w godzinę potem powrócił spotniały i przez Zamechską oznajmił Biance, że w kamienicy naprzeciw-ko św. Wojciecha na rogu, na dole osobną izdebkę dostał dla panien.

Nie przyszło mu to łatwo, lecz o tem nie mówił. Najwięcej dolegało biednemu, że on sam z powodu służ-by, pannom towarzyszyć nie mógł. Na to jednak chciał poradzić, potajemnie kogoś zostawując na miejscu swo-jem. Dla Dzemmy ofiara żadna nie była za wielką.

Rankiem więc, gdy na zamku wyciągano pozłoci-ste aksamitem purpurowym i suknem szkarłatnem wybi-jane kolebki, gdy ubierano konie: ściągano ludzi, gdy or-szaki księcia Albrechta i księcia Cieszyńskiego ściągano z miasta dla towarzyszenia młodemu królowi, który na-przeciwko narzeczonej miał wyjechać, Dudycz okupi-wszy swobodę, w komórcie się z pomocą chłopca przystra-jał najdziwaczniej. Wiemy że stroić się lubił, ale dnia te-go, gdy wszyscy się zmagali na najwspanialsze ubiory, niełatwo było Petrкови tak się wyelegantować, aby na siebie oczy mógł ściągnąć.

Skutkiem nadzwyczajnego wysiłku na najosobliw-szy strój włoski, uczynił się jeszcze śmieszniejszym niż

kiedy. Nie patrzył bowiem na to, jak się pojedyncze stroju części zgadzać będą z sobą, ale dobywał co miał najwytworniejszego. Zawiesił aż dwa łańcuchy na szyi, do beretu przypiął pióro najkosztowniejsze, a suknię i płaszczyk, choć się kłóciły z sobą wziął najdroższe. Pstro wyglądał jak papuga starej królowej, a twarz znu-żona jeszcze się dnia tego wydawała starszą niż zwykle.

Dzemma tymczasem ubrała się naumyślnie cała czarno i w tej żałobie cudnie jej było.

Ponieważ z zamku na Rynek wkrótce, dla natłoku i nieustannie przybywających i odpływających wozów i ludzi, precisnąć się było trudno, dwie panny musiały zawczasu dostać się do miasta. Dudycz w całej paradyż czekał na nie w korytarzu, spodziewając się przy tej zrę-czności choć wejrzenie otrzymać jako zapłatę.

Bianka, jakby dla kontrastu, ubieliwszy się i uró-zowawszy, jasne i młodsze, niż jej przystało, wdziawszy sukienki, zawczasu była gotową. Dzemmę nie łatwo wy-ciągnąć jej przyszło.

Spodziewała się raz jeszcze tu na zamku, choć przechodzącego zobaczyć Augusta i ledwie jej oczekiwa-nie Bianka mogła wybić z głowy.

Zapuściła czarny kwef na twarz, tak aby twarzy jej nikt rozpoznać nie mógł i naostatek wyciągnąć się dała.

Dudycz stojący na straży poszedł na przywitanie, lecz ani słowa ni wejrzenia nie zyskał, a co gorzej, w tej-że chwili nie wiedzieć zkąd dowiedziawszy się o tej wy-prawie rannej Monti (może Bianka się z nią wygadała), o kilka kroków przyłączył się do idących.

Piękny śpiewak w nader smakownem ubraniu zu-pełnie zaćmił nieszczęśliwego Petrka, którego zaledwie raczył poprosić o pozwolenie towarzyszenia panienkom.

Dudycz gniewny, chciał za pośrednictwem Bianki wytłómaczyć mu, że miejsca dla niego brakło, ale Monti nie słuchał i nie słyszał.

Dzemma nie miłszą była dla tego drugiego adora-

tora jak dla pierwszego, jednakże przynajmniej się obejrzała ku niemu. Chciał rozpocząć rozmowę, zbyła go milczeniem.

Blanka mówiła za dwie.

W podwórzu cudowny widok się już oczom ich stał, bo właśnie orszak młodego króla gromadził się tu i wypełniał. Nie był on zbyt licznym może, lecz świetnością, przepychem, rozmaitością barw zachwycił. Składali go niezwykli dworzanie, lecz młodzież najpierwszych najmożniejszych rodzin w kraju; a że każdy chciał z bogactwem się popisać i ze smakiem, a nie było prawda i granicy żadnej w doborze sukni i zbroi, jeden więc drugiego starał się zaćmić, a wszyscy razem składali obraz osobiwej piękności, który, w świetle pogodnego majowego poranku, wywoływał zdumienie i okrzyki.

Nie było może stroju i narodowości, któraby tu reprezentowaną nie stała w najwyższym blasku i przepychu. Przeróżne węgierskie, tureckie, włoskie, hiszpańskie, polskie, niemieckie suknie, nakrycia głowy, zbroje, tarcze, rzędy, okrycia na konie, pancerne skrzydła, szyszaki z piórami i godłami, grupowały się prześlicznie, a ci co przywdziali ubiory wspaniałe niemniej się odznaczali urodą, postawą, młodością kwitnącą lub powagą.

Wesołe uśmiechy i wykrzyki przelatywały nad temi gromadkami, którym właśnie w tej chwili, z otwartego okna na dole, stary pan się przypatrywał z radością na lieu i dumą.

Augusta jeszcze tu nie było, giermek jego tylko przywiódł królowi na okaz ślicznego gniadego konia, przeznaczonego dla młodego króla, okrytego białą deką, szytą złotem i perłami, które jak krople rosy zdawały się spływać we wzory misterne.

Bona, której mąż chciał pokazać przygotowania te, odmówiła przyjęcia i oglądać ich nie chciała.

— Powiedźcie królowi — odparła nadąsana mar-

szalkowi—że ja się dziś dosyć namęczę do wieczora, niech mi teraz da spocząć. Nie ciekawam.

Król zmilezał.

Oprócz towarzyszków młodego pana, orszaku ks. Pruskiego i Cieszyńskiego, podwórze pełne było służby różnej wozów i koni, tak że Dudycz i Monti z trudnością drogę kobietom utorowali ku bramie.

Ruch był niezmierny i na przekorę Bonie wesoły, ochoczy, a dzień, chociaż gorący, zwiastował się słoneczny i piękny.

Cała przestrzeń pomiędzy zamkiem a Rynkiem tak samo mrowiła się ludem poubieranym świątecznie, wesołym, ożywionym, pomiędzy którym krążyli przekupnie z koszykami przekąsek i napojów.

Ulice miasta przystrojone były świątecznie. Z okien powywieszano kobierce, makaty, drogie tkaniny wzorzyste, wieńce zielone i wiązanki kwiatów.

A choć do wjazdu było jeszcze długo czekać potrzeba, teraz już ulice, okna, drzwi, wrota ciekawych pełne były.

Kiedy niekiedy przez te tłumy przedzierał się spójniony jeździec strojny ze skrzydłem na barkach, lud sykał a wskazywał go, ustępując mu z drogi.

Straże miejskie, Viertelnicy i dozorecy z trudnością porządek wśród ciżby utrzymać mogli. Ponad tem górą wesoło grały dzwony kościelne, a w niektórych z nich odzywały się organy i śpiewy.

Miasto widocznie gotowało się do obchodu jednego z tych dni pamiętnych, o których pokolenia potem opowiadają, jako o uroczystościach co się w ich pamięci wyrzyły więcej uczuciem jakie wzbudziły, niż wielką świetnością swoją.

Młoda królowa dla wielu, jeśli nie dla wszystkich, była zwiastunem lepszej przyszłości, wybawicielką tą, która z pod despotyzmu Włoszki chciwej, przewrotnej, oswobodzić miała.

Zygmunt Stary obudzał poszanowanie i miłość, lecz ona, towarzyszka jego, co go obezwładniła i w sromotnej trzymała niewoli, oprócz garści swoich służalców, nikogo za sobą nie miała.

Elżbieta mogła przynieść wyswobodzenie, i radość wszystkich, zausznicy Bony przyjmowali chmurno i niespokojnie. Ona sama patrzeć na nią nie chciała, czując, że przeciwko niej wymierzona była.

Na całej drodze do kamienicy narożnej naprzeciwko św. Wojciecha, ciągle się przedzierać było trzeba nie bez trudności. Dudycz i Monti szli przodem, bo Dżemma żadnemu z nich ręki podać nie chciała.

W końcu stanęli u wrót i Petrek z kluczem pobiegł przodem drzwi komnatki najętej otworzyć.

Staraniem jego była ona wykadzona, ukwiecona i jedyne jej spore okno opatrzone siedzeniem wygodnem z podnóżkami, tak że kobiety mogły się ztąd doskonale przypatrywać ulicy, a pod oknem zbity tłum stał niżej i widoku nie zasłaniał.

Dudycz, który wpuścił rad nie rad Włocha, nie czytał już tu sobie więcej nikogo i gotów był drzwi zamknąć za wchodzącymi, gdy w progu ukazał się mężczyzna, nieznajomy mu, ale natrętny do niepozbycia.

Średnich lat, słuszny, suchy, bardzo ciemnej pęci i rysów twarzy wcale nie pięknych, ale ożywionych i wyrazistych, ubrany przyzwoicie, lecz nie jaskrawo i jak wiekowi poważniejszemu przystało, chwycił za rękę Petrka i żywo począł po łacinie, potem po włosku coś mówić, czego on nie bardzo chciał słuchać i rozumieć.

Nieznajomy był upartym, nie puszczał go, a oblicze jego wyrażało zniecierpliwienie. Szeptał mu coś na ucho.

Dudycz, który się opierał wpuszczeniu do izby, po chwili mrucząc zrobił mu miejsce.

Natręt z gibkością na swój wiek szczególną, wylamując się i wyginając jak wąż wsunął do środka i w progu jeszcze długo coś Petrkowi szeptał do ucha, uka-

zując karteczkę, na którą gdy Dudycz rzucił okiem, schował ją zaraz do kieszeni.

Monti, który zdala się temu przypatrywał, chwilę stał jakby niepewny i zdumiony. Zwrócił wzrok natychmiast na obcego tego, ale spotkały się ich wejrzenia i nieznajomy oczy natychmiast odwrócił.

Kto i jakiego stanu to mógł być człowiek, trudno było odgadnąć. Typ twarzy wskazywał Włocha, a suknie kogoś co zarówno mógł należeć do dworu i do bogatego mieszczaństwa. Twarz niepiękna nadzwyczaj była rozumna, wejrzenie bystre, wyraz oblicza pełen przebiegłości i energii, która się w zręczność umiała przestroić.

Monti tak patrzył na przybysza, jak gdyby szukał w nim kogoś dawniej znanego lub przynajmniej widzianego, co zdawało się niepodobać natrętowi, odwracającemu oczy w inną stronę.

Ponieważ Dżemma z nikim, oprócz Bianki mówić nie chciała, Monti mógł swobodnie odstąpić nieco i zbliżyć się do przybysza. Dudycz korzystał z tego, chcąc Biankę przynajmniej wciągnąć w rozmowę, a przez nią się przypomnieć Dżemie.

Monti tymczasem z wolna się przysunął do nieznajomego.

— Signore — rzekł — zdaje mi się, że się nie myślę.

Czarnemi oczyma zmierzył go z wyrazem surowym obcy.

— Jeśli się nie mylisz pan — odparł śmiało — to powinienes pomieć, że gdy kto chce i ma powody nie dać się poznać, uszanować to potrzeba. Mógłbyś panie źle się zalecić tam, gdzie pewnie chcesz być dobrze zapisanym.

Ostatnie słowa dodał z naciskiem.

— Rozumiecie mnie — powtórzył ciszej.

— Doskonale — odparł śpiewak — i możecie być pewni, że jesteście dla mnie nieznajomym, którego widzę

raz pierwszy, ale to nie przeszkadza dwóm Włochom, spotykającym się w kraju obym, mówić z sobą.

— Tak—rzekł nieznajomy—lecz jeżeli zdradzicie mnie, pamiętajcie, że ten, na którego dworzeście widzieli... kogoś podobnego do mnie, będzie wiedział i nie przebaczy.

— A! bądźże Signor spokojny — dodał śpiewak— lecz przebac, kim chcecie tu być?

— Jestem kupcem z Wenecyi—rzekł żywo przybysz—a może wysłańcem rzeczypospolitej... to mi obojętne!

Dudyczowi rozmowa z Bianką nie powiodła się bardzo. Tymczasem dwaj Włosi przeszli ku dalszemu kątkowi izby, Petrekowi straż nad kobietami pozostałszy.

Nieznajomy, który chciał uchodzić za kupca, teraz sam pierwszy poczał żywo, natrętnie, natarczywie badać Montiego, który posłusznie i z pewną odpowiadał mu uniżonością.

— Widzieliście starą królowę?

— Codziennie śpiewam u niej — rzekł Monti. — Nie szczędzi mi oklasków, ale podarunków nie szczodra! Winien temu zapewne zły humor, jaki ją uciska.

Kupiec błysnął oczyma.

— Przegrała sprawę—szepnął, uśmiechając się.

— Wątpię, by ją miała za straconą. Ona tu pani—mówił Monti.

— Kto są te dwie Signoriny? — zapytał nieznajomy wskazując na Dżemmę, która odśloniwszy czarny kwef, w całym blasku piękności swej się ukazała.

Monti pochylił mu się do ucha.

— Bellissima jest kochanką młodego króla terazniejszą, a druga przeszłą!

Mówiąc to uśmiechał się.

Kupiec marszczył czoło, a oczy ciekawe zdały mu się z powiek wyskakiwać, tak Dżemmę niemi pozerał.

— Ta więc jest!—szepnął.

Ponieważ miejsc było niewiele, a dwie panny królowej twarzyczkami wabiły przechodzących, do drzwi się zaczęto dobijać. Natychmiast Monti porzucił kupca, a Dudycz poszedł bronić najętej izby... Ale to się okazało nader trudnem i Petrek musiał wyjść do sieni, aby tam walkę stoczyć broniąc progu i przystępu do Dżemmy.

Panowie bywający na dworze, cudzoziemcy, którzy mieli protekcyą Bonera, Decyusza i innych Dudycza znajomych, cisnęli się gwałtem. Petrek nie wiedział jak się opierać. Jakkolwiek go to wiele kosztowało, kilku starszych ichmościów wpuścić musiał.

Piękna Włoszka na żadnego z wchodzących nawet oczu nie zwróciła. Bianka za to wesoła, trzpiotowała, rada gdy ją kto wyzywał, śmiała się i odpierała zaczepki po włosku i po polsku z odwagą wielką. Kilka razy zamknęła usta Montiemu, który zamilkł nadąsany, bo śpiewał lepiej i prezentował się pokazniej niż dowcipował, a upokorzonym być nie lubił.

Wśród tego gwaru upłynęło dosyć czasu, i w ulicach nagle ruch się zwiększył, tłum stojący w porządku poczał się ścisnąć pod domy.

— Jada! jada! — wołano ze wszech stron. Był to ów orszak młodego króla, którego część kobiety widziały na zamku, wyciągający właśnie naprzeciw Elżbiecie.

Dżemma wstała, poszła do okna, wychyliła się, wsparła na niem i oczy wlepiła w ulicę. Ale nierzeczywiście ukazał się ten, którego szukała, którego wzrok, jak się jej zdawało, powinien ją być tu przeczuć i znaleźć.

Naostatek, w towarzystwie Ks. Pruskiego i Cieszyńskiego, Zygmunt August ukazał się w sukni białej srebrzystej, niemieckim krojem, na gniadym rumaku w perłowej dece.

Jechał piękny, zadumany, poważny, szlachetnem obliczem królewskiem tak się odróżniając od wszystkich, co go otaczali, iż twarz wyraziste, dumne ale pospolitszych rysów dwóch książąt jadących u jego boku, wydawały się dziwnie barbarzyńskie... Postawa, wejrzenie, wszystko w nim króla znamionowało.

Dżemma zbladła, a Bianka mogła dostrzedz drżenie, którem każdy muskuł jej twarzyczki się poruszał.

Oczy nadjeżdżającego Augusta, który dotąd patrzył chłodno przed siebie, nie nie zdając się widzieć, jakby pociągnięte jakąś siłą tajemniczą, nagle zwróciły się ku narożnej kamienicy i, tak jak przeczuła Dżemma, padły na nią.

Spotkały się te dwa wzroki i na chwilę utonęły w sobie. Gniady wierzchowiec króla, jakby drżenia ręki usłuchał, zatrzymał się chwilę i żywiej poskoczył.

Dżemma natychmiast opadła na swe siedzenie. Więcej już nie widzieć nie chciała.

Bianka, Monti i inni widzowie wskazywali w orszaku przejeżdżających, mianując ich po nazwisku. Dudy o niektórych miał ciekawe rzeczy do powiedzenia, Włoszka nie nie słyszała.

W ulicy też, po przejeździe króla, znowu się wszystko rozsypało, rozlało, rozluźniło, bo wiadano, że za godzin kilka powracać będzie August towarzysząc narzeczonej, z którą miał się w rozbitych namiotach spotkać za miastem.

Dudycz, ponieważ wiele czasu zostawało jeszcze na oczekiwanie, przygotował się na przyjęcie swych gości. Chciał wystąpić przed Włoszką, ale nie potrzebował nieznanomych i natrętów ugaszczać. Wysunął się więc i sam osobiście przyniósł na tacy wina i słodycze.

Dżemma ręką białą odepchnęła tacę, Bianka zagarnęła wszystko...

Ożywiona rozmowa zawiązała się pomiędzy dziwnie tu zgromadzonemi osobami, mało lub wcale nieznanymi.

Monti mówił dużo, choć nie miał wiele do powiedzenia, kupiec wenecki tak samo słuchał pilnie i gorliwie. Zdawało się, że lękał się stracić słowo i uszami był wszędzie. Pochylał się, wciskał, łapał latające wyrazy, rzucał pytania, a sam tak się umiał obwarować, aby mu ich nawzajem nie zadawano.

Monti, który śledził za nim oczyma, mógł się przekonać, że nie było nikogo z przytomnych tu, oprócz Dżemmy, którego by nie wybadał kupiec wenecki i coś z niego nie wyciągnął. Ciekawość ta była tak niewinna i naiwna, że nikogo razić nie mogła.

Cudzoziemcy po raz pierwszy w kraju obcym, często się tak o wszystko dopytywać muszą, nie mogąc się z nim oswoić. W kupcu tylko to uderzało, że twarz jego niepospolitą znamionowała pojętność. Śpiewak, który z początku go tak napastliwie zaczął, teraz zdawał się już z umysłu unikać i nie zwracać uwagi na niego. Drudzy też nie mieli powodu zwracać na przybysza, który wśród bardzo licznych naówczas w Polsce Włochów, codzień prawie przybywających, nie był żadnem osobliwym zjawiskiem.

Oczekując na widowisko spodziewane, obie Włoszki pozostały na swych miejscach. Bianka ciągle niezmiernie ożywiona, zaczepiająca mężczyzn wzrokiem i słowem, zalotna, wesoła — Dżemma w sobie zatopiona i milcząca.

Ci, co ją znali, łatwo sobie tłómaczyli jej smutek z którym się nie kryła. Zartobliwe, nieustające szczerbienie towarzyszki, niekiedy widocznie przykrem było Dżemmie, krzywiła się, odwracała, ale miejsca swego opuścić nie chciała.

Monti parę razy spróbował z nią zawiązać roz-

mowę nadaremnie, nie odebrawszy odpowiedzi, został na miejscu milczący, pożerając ją oczyma.

Była tego dnia cudnie piękna w swoim czarnym stroju, z tym smutkiem tragicznym na twarzy, który wśród ogólnego wesela odbijał tem wyraziściej.

Dość długi czas upłynął, a przed oknem się nic nie odmieniło; lud przepływał gwarząc, niektórzy stawali, aby się Włoszkom przypatrzeć—znajomi podchodzili pozdrawiając je. Od czasu do czasu w Rynku, na drodze do zamku zjawiał się jezdny, głośno opowiadając co słyszał. Gdzie był młody król, gdzie orszak prowadzący narzeczoną; a że w ścisłości i tłumach nie obchodziło się bez wypadków, ukazywały się to prowadzone napowrót do zamku skałeczone konie, to ludzie, którzy szwankowali i musieli się wycofać z pocztów.

Już dobrze z południa, znajomy Dżemie i Biance, ulubiony sługa młodego Augusta, dworzanin Merło, który do orszaku jego się nie liczył, ale był do posyłek na zamek przeznaczony, ukazał się cwałem pędząc ku Wawelowi.

Przystrojony był, jak wszyscy dnia tego, z wielką elegancją, ale bez ciężkiej zbroi, bo się musiał ciągle kręcić. Był to chłopak żywy, śmiały, wesół i ulubiony młodemu panu, bo dla niego na wszystko gotów.

Dla Merły, gdy szło o usłużenie królowi, nie było niepodobieństw i trudności. Nieraz już też dla niego naraził się i krew przelał, królowi staremu stał niemiłym, ale wszystko to przetrwał i służył mu wiernie jak nawykł od dzieciństwa.

Zobaczywszy Merłę, Bianka śmiała wychyliła się chustką mu dając znaki, domyślała stę bowiem, że musiał mieć wiadomość o spotkaniu. Możeby jej nie wysłuchał, na zamek śpiesząc do starej królowej, ale zobaczył razem Dżemmę i konia zawrócił pod okno.

Zaledwie tu stanął, kupą ścisnęli się około niego ciekawi.

— Mów — krzyknęła Bianka — widziałeś młodą panią?

Merło z konia się pochylił ku oknu.

— Wracam ztamtąd — odparł — jadę od namiotów. Królowa już przybyła, ale to biedactwo wątłe i blade, że nie wiem jak ten dzisiejszy dzień wytrzymać potrafi. Gdy ją od powozu do namiotów prowadzili margrabia Jerzy z księciem Lignickim zdało się, że co chwila nogi jej się zachwieją i padnie. Ubrana cała w złotogłów, okryta klejnotami, ugięła się pod ich ciężarem. Nie królową się wydawała, ale nieszczęśliwą ofiarą, aż litość brała.

Dżemma rzuciła na Merłę okiem gniewnem, a ten ciągnął dalej:

— Spotkał narzeczoną August, nasz pan, na pół drogi i tu się sobie pokłonili, ujawszy za ręce. Dopieroż mowy się rozpoczęły i nie wiem kiedy temu koniec będzie, bo z obu stron oratorów dosyć, a kto się do mowy przygotował, ten jej nie podaruje!

— A król młody? król? — zapytała Bianka.

— No i ten jak skazany stoi — rzekł Merło — blade i umęczony. Złota narzeczona a srebrny pan! — dodał śmiejąc się. — Gdyby u nas wiedziano, że panią całą w złoto oprawia, mybyśmy też może naszego pana choć w szkarłat wystroili, a tak się on ubogo im wydał.

— A prędkoż się wjazd poczniesz? — zapytała Bianka.

— Widzicie jak się tam ściągają na zachodzie chmury? — rzekł — otóż nie potrzeba na to proroka, aby zgadł, że nim oni powoli ciągnąc od namiotów do miasta nadążą, niezawodnie deszcz zacznie kropić i naszym paradysem hufcom atłasy i aksamity pomoczy!

Merło śmiał się wesoło.

— Jeżeli oracye się skończyły — dodał, koniowi cugli popuszczając — musieli już ruszyć z miejsca, ale choćby deszcz wisiał nad niemi, nie pośpieszą, bo takiej uroczystej kalwakacie nie przystało inaczej jak stępią.

To mówiąc przyłożył rękę do beretu, pozdrowił kobiety i krzyknawszy na tłum, aby mu się rozstąpił, puścił się dalej ku zamkowi.

Znowu tedy dobry kawał czasu upłynął, nim od Floryańskiej bramy przez ściśnięte tłumy doszedł szmer oznajmujący, że uroczysty pochód się przybliżał. I, jak przepowiedział Merło zawczasu, w istocie chmura wiosenna nadciągnęła powoli, niebo się oblekło szaro, deszczyk powoli kropić zaczął, a że się to działo ku wieczorowi, starzy ludzie wróżyli iż się zasłoci.

W ulicy lud się rozstąpił naostatek i pierwsze hufce pokazywać zaczęły. A było patrzeć na co! Każdy z panów pierwszym chciał być; pocztę więc nietylko wspaniałością, ale i liczbą mieć pokazne—zatem po dwu jechał ludzie, najwięcej po trzech, aby każdy oddział wydawał się liczniejszym i dłuższym. Przyjaciele i nieprzyjaciele, radzi nieradzi, wśród wszystkich tych dworów pańskich, które królowę młodą otaczały, musieli przyznać pierwszeństwo arcybiskupowi prymasowi Gamratowi. Człowiek ten nowy wyprzedził okazałością i przepychem, a nawet mnogością ludzi, i Tarnowskich i Kmitów. Szło mu o to. Zadawano mu nieustannie plebejuszostwo, tu on się większym panem okazać chciał od najmożniejszych panów. Lud jego dobrany był z nadzwyczajnem staraniem, chłop w chłop, urodziwi, silni, postawy pięknej. Większa część po polsku była ubrana w szkarłatne żupany i kontusze z tkaniny złocistej barwy, ale czoło składali pancerni arcybiskupi—srebrne zbroje, czerwone czamary, a u bark skrzydła z białych piór strusich w srebrnej oprawie.

Co to wszystko kosztować mogło Gamrata! Z przekąsem mówili nieprzyjaźni mu, że się pewnie srebrom kościelnym dostać musiało, a drudzy szeptali, iż u kupców się zadłużył srodze.

Obok tego pocztu arcybiskupiego, który na oko licząc, mógł do trzechset głów wynosić, jeden tylko, ale

liczbą mniejszy, hetmana Tarnowskiego mógł stanąć na równi. Lecz stary pan z panów nie potrzebował się wysilać, nie myślał popisywać, gromadka jego była nie tak wielka i odziana na sposób hiszpański; przystroiłby ją pewnie po polsku także, lecz dowiedziawszy się o Gamracie, nie życzył sobie iść z nim o lepszą. Tu też najpiękniejsze konie były, a ludzie nie tak młodzi, ale za to wielkiego animuszu, prawi rycerze, którzy niejeden bój zwycięzki przebyli.

Kasztelan poznański, Andrzej z Górki, z włoska sam się ubrał i ludzi poubierał. Książęta Radziwiłłowie rotę wiedli polskie, którym dla osobliwości Tatarów litewskich w żółtych atłasach przydali, a do prowadzenia koni czterech murzynów strojnych paradnie. I tu przepych był wielki, książęcy, z jakim ród ten lubił występować zawsze.

Chodkiewicz, podczaszy litewski, nie rad im i innym Litwinom ustąpić, urozmaicił swoje pocztę, postroiwszy je różnie. Sam jechał przodem w zbroi całej złoconej przedziwnego kunsztu i szyszaku podobnym, z tarczą misternie rzeźbioną. Za nim naprzód czterech w szkarłatnym adamaszku, dwa małe pocztę po pięciu ludzi w jedwabnych sukniach białych, dalej ośm w srebrnych zbrojach ze srebrnymi przyłbicami, na których herbowe siedziały gryfy.

Lecz kto policzy i opisze!

Kościeleccy, Rozdrażewski, nawet p. Seweryn Boner, który gorszym od innych być nie chciał, odznaczali się wśród tego nieobrachowanego, długiego orszaku, ciągnącego zwolna ku zamkowi i poprzedzającego królowę młodą.

Patrzący, którzy w początkach cisnęli się wydając okrzyki podziwiania, znudzili się w końcu, gdy się królowej doczekać nie mogli. Szedł poczet jeden za drugim, mieniały się barwy; coraz nowe stroje następowały po sobie, ale powozów nie było i nie było. Deszcz zacząw-

szy kropić padał już teraz spokojnie, ale tak jakby nie myślał ustać rychło.

Dopiero po przeciągnięciu tych huców, szmer i krzyki zwiastowały powóz królowej. Dżemma głowę podniosła. Obok niej musiał jechać August.

Tak było w istocie.

Młoda pani blada, zmęczona, siedziała w kolebce złocistej, wybitej szkarłatnym aksamitem, którą ciągnęło osiem siwych koni cudnie dobranych, a przy niej szło piętnastu paziów po włosku strojnych i sześciu pacholców w aksamitach czerwonych.

Przy drzwiach otwartej kolebki widać było jadącego Augusta, któremu ks. Pruski i ks. Jerzy towarzyszyli. Młody pan w białym srebrzystym stroju wyglądał pięknie i pańsko, ale twarz jego nie promieniała wcale radością wesela, a oczy się nie zwracały ku narzeczonej, ale wlepione były w tłumy, przed siebie.

Dżemma podniosła się, zbliżyła ku oknu, żebrząc i wyzywając wzroku, lecz z gniewem opadła na siedzenie. Przejechał i pominął kamienicę August, nie obróciwszy wejrzenia, zapomniawszy że ją tam widział przed chwilą.

Włoszka nie mogła utaić gniewu swojego. Chciała natychmiast, zerwawszy się, na zamek powracać, ale było zupełnem niepodobieństwem przez ulice się przemieszczać. Orszakowi królowej nie było końca, a ciżba wszędzie tak wielka, że ani Dudycz z Montim, ani kilku służby gdyby ich w pomoc wzięto, nie zdołaliby utorować drogi.

Kobiety więc czekać musiały, aż tłumy się cokolwiek rozrzedzą. Tymczasem powozy szły jedne za drugimi, bo teraz kolej na nie przyszła.

Za królową naprzód w takiejże pozłocistej kolebce z aksamitem czerwonym, sześć koni pod dekami aksamitami, jechały Krystyna z Szydłowieckich księżna Ole-

śnicka i siostra jej żona hetmana, które na spotkanie młodej pani wystane były.

Dwie siostry nie chcąc z sobą się ubiegać o wspólność, wozy i woźniki miały zupełnie podobne. Za kolebkami ich w kolebkach mało co skromniejszych, siedziały panie i panny fraucymeru młodej pani, Niemki po większej części, dwór niewieści hetmanowej i księżnej.

Co dalej szło, to już do orszaku uroczystego nie należało i na to ciekawy tłum, który się począł rozpływać, nie zwracał uwagi.

Wszyscy też pragnęli się dostać na zamek, aby tam być świadkami przyjęcia młodej pani, ale podworce były przepełnione, kościół, do którego naprzód wstąpić miała przybrana pani, nie mógł zmieścić tylko wybranych; próżno więc gawiedź miejska zatoczywszy się jakby falą, u wrót zamkowych strzymana, postawszy nazad ku miastu powrócić musiała.

Włoszka niecierpliwiła się dawno, usiłując wyrwać; chciał i Dudycz powrócić do swych obowiązków, lecz nierychło można było próbować nawet dostać się na Wawel. Szczęściem Merło, który to przewidywał, a szło mu o Dżemkę, ulubienicę pańską, znalazł woźnicę i krytą kolebkę dworską niezajętą i kazał jej jechać do kamienicy zabrać panny królowej. Monti i Dudycz wybierali się już na piechotę z niemi, gdy zbawcza kolebka nadciągnęła. Woźnica niemający polecenia zabrania nikogo oprócz kobiet, gdy te siadły, ruszył nie czekając na nikogo więcej.

Porzuciwszy Montiego, Petrek, który konia sobie szukać dla pośpiechu nie mógł, puścił się pieszo na zamek.

Wszyscy zgromadzeni wypadkiem na dole w kamienicy naprzeciw św. Wojciecha rozstali się nie żegnając; Włoch tylko ów gibki i żwawy, który dał odprawę Montiemu, do Dudycza dobrowolnie przystał, i wybrawszy go sobie, jakimś szczególnym efektem, ofiarował się go ku zamkowi przeprowadzić. Ujął nawet dla bezpie-

czeństwa pod rękę, i poczawszy wesołą rozmowę, okazywał wielką chęć bliższego z nim poznañomienia się.

Dowodziło to niepospolitej trafności oka w nieznanym kupcu weneckim, bo pocziwy ale niedaleko widzący Dudycz, do którego ludzie nie zwykli byli lgnąć, przez wdzięczność dla tych, którzy mu okazywali jakąś sympatyę, łatwo do nich przystawał. Raz zaś z kim zwiąawszy stosunek dobroduszny człek dawał siebie ciągnąć co kto chciał i był dla takiego ciekawego cudzoziemca, a nieocenionym skarbem. Powiadano o nim żartobliwie, że niekiedy od niego o tem się można było dowiedzieć, czego on sam nie wiedział.

Gadatliwy, żwawy, wesoły Włoch naprzód się wypowiadał Dudyczowi, że dla handelku tu przybył czasu wesela, a handel wymagał stosunków i znajomości. Życzył więc na dworze się rozstuchać.

Nawzajem ofiarował nowemu przyjacielowi usługi swe, chociaż, czem one być miały i jakie, trudno było wyrozumieć.

Dudycz nie odepchnął Włocha. Powiedział mu gdzie mieszka, kiedy i jak się z nim spotkać można. Tak razem doszli aż do zamku, a z czasu tego doskonale skorzystać umiał ów nieznanomy, iż Dudycz ust prawie nie zamykał, na coraz nowe odpowiadając pytania. Wszystkie one tyczyły się naturalnie osób do dworu należących, gdyż kupiec zapewne z towarem najwięcej rachował na nie.

Gdy pożegnawszy Włocha u wrót Dudycz wcisnął się na zamek, już pierwsze spotkanie i powitanie w kościele na Wawelu, błogosławieństwo duchowieństwa i modlitwy były skończone.

Stary król, który się niezmiernie o to troszczył, aby młoda pani nadto zmęczoną nie była, cały dzień zmuszona w stroju niewygodnym jechać, stać, kłaniać się, słuchać, prosił duchownych, aby ceremonia kościelna niedługo się przeciągnęła.

Dudycz dowiedział się w podworeu, iż królowa Bona, która z początku słabą się uczynić chciała, aby nie wyjść na spotkanie do kościoła, w końcu zmuszoną została razem z mężem się tu stawić i trzema córkami swemi.

Na wszystkich młoda przybyła pani uczyniła jedno wrażenie: obudziła politowanie i sympatyę. Wydawała się biedną, a łagodną i dobrą. Staremu Zygmuntowi uśmiechała się z naiwnością dziecięcą, czując w nim ojca i opiekuna.

Za to królowa Bona ani słowem, ani twarzą nie okazała dla niej najmniejszego uczucia, nie, oprócz zimnej i dumnej obojętności.

Ci, którzy mieli zręczność mówić tego wieczoru z hetmanową Tarnowską i ks. na Oleśnicy, roznosili, iż dwie panie młodej przyszłej królowej odchwalić się nie mogły, wynosząc jej dobroć, uprzejmość, grzeczność, cierpliwość, a prorokując Augustowi z tym aniołem najszczęśliwsze pożycie.

Dwór, którego oczów nie nie uszło, szeptał, że król August też bardzo zimno się zachowywał względem przyszłej małżonki, oprócz tego co ceremoniał dnia mu nakazywał, nie dając najmniejszego dowodu rodzącej się życzliwości.

W ciągu powolnej jazdy od namiotów na zamek, oczy młodej pani szukały ciągle narzeczonego, zwracając się ku niemu z ciekawą a serdeczną sympatyą, ale król nie odpowiadał na te wejrzenia. Nie przemówił do niej nawet, gdy do powozu prowadząc, miał czas i sposobność do tego.

— Wszystko się to rychło odmieni — mówili jedni. — Pani piękna i dziwnie dobrą być musi, król przywiąże się do niej.

Drudzy przewidywali inaczej i potrząsali głowami.

Na zamku po powrocie z kościoła wprędce zasiedli goście dostojniejsi do stołów. Posadzono przyszlą parę

obok siebie, lecz naprzeciw siedzący stary Zygmunt więcej się synowej przypatrywał, częściej do niej przemawiał, czulej o nią troszczył niż August, który prawie oczów podnieść nie śmiał na nią.

Królowa Bona siedziała też dumnie milcząca, z zakąszonemi wargami, nie ukrywając gniewu swego, a ile razy wejrzała na przyszłą synową, oczy jej złowrogiego nabierały blasku.

Tylko ojciec weselem i humorem, i kółko jego przyjaciół, dwie panie towarzyszki, Tarnowska i Oleśnicka, ożywiały towarzystwo.

Znużenie podróża, po której nazajutrz ślub i koronacja nastąpić miały, zmusiły przez wzgląd na wątłe siły Elżbiety, do rychłego odpuszczenia jej na spoczynek.

Biedna ofiara, upadająca pod ciężarem sukni i znużenia dnia tego, uśmiechała się do końca, usiłowała mężnie wytrwać, bladeła i rumieniała się, ale nie okazała po sobie, że sił ostatek dobywała.

Gdy się to działo w komnatach wielkich, oświetlonych i strojnych, w całym blasku i przepychu królewskim, mieszkanie tymczasem przeznaczone dla Elżbiety, fraucymer jej śpiesznie przygotowywał, tak, aby w nim spocząć mogła.

Niespokojna, bladeja, ale mężna ochmistrzyni, przyjaciółka, zastępująca matkę, Kätchen Hölzelinowa w mgnieniu oka usłała łożo, dobyła suknie i bieliznę, i chodziła modląc się niespokojna w oczekiwaniu na swą biedną panią.

Znała ona ją i jej siły lepiej niż ktokolwiek w świecie, bo była przy niej od dzieciństwa, bo ją jak matka kochała. Dlatego taki niepokój ogarniał Kätchen teraz, gdy rozważała, czy dziecku starczy mocy na podołanie wszystkim wrażeń i ciężkim trudom, jakie ją tu czekały.

Kätchen nie chciała nic jeść, nie usiadła, nie mogła się uspokoić, azby swej pani się doczekała.

Co chwila podbiegała ku drzwiom, przysłuchiwała

się szmerom, dochodzącym tu od pokoiów, i łamała ręce, gdy coraz później się robiło, a pani jej nie przybywała.

Czas wydawał się jej nieprzebytym. Naostatek kroki ciche dały się słyszeć w korytarzach, Hölzelinowna porwała świecę i wybiegła. Odprowadzano jej nieszczęśliwą ofiarę, która szła bladeja z uśmiechem na ustach, ale jedno wejrzenie starczyło piastunce, aby się przekonać, że ostatekiem sił już wlokła się do niej znużona.

Szczęściem nie nalegano u drzwi, gdy Kätchen wprowadziła do sypialni, na dłuższe dworowanie młodą panią, i ochmistrzyni mogła natychmiast drzwi zarygłować. Elżbieta padła na krzesło bladeja, bez tchu, w oczach jej łzy się kręciły, ale uśmiechała się jeszcze.

Z pośpiechem wielkim poczęła ją sama rozbierać piastunka, odpinać suknię, zdejmować łańcuchy, uwalniać od pasa, zrzucać obuwie. Dwoje dziewcząt pomagało, nikt nie odzywał się słowa. Skinęła nareszcie Kätchen na nie aby odeszły, i narzuciwszy nocny płaszczyk na Elżbietę, chciała ją zaraz położyć w łóżko, gdy biedna ofiara podniosła ręce, zawiesiła je na szyi piastunki, wybuchnęła płaczem stłumionym; twarz jej okryła bladeja śmiertelna, oczy się zamknęły—omdląja.

Był to omdlenie? Hölzelinowna znała pewnie ten stan wątego swego dziecięcia, gdyż, pomimo przestrachu jaki doznała na widok jego, pozostała nieruchoma, nie tknęła ją palcem, nie usiłowała obudzić gwałtownie.

Białe ręce młodej pani stęzały tak, całe ciało się wyprężyło boleśnie, oddech zdał się ustawać w piersi, a na zbladłych wargach ukazała się pianka, którą cierpienie dobyło z piersi.

Kätchen stała nieruchoma, ale nie tracąc przytomności. Złożyła chorą zwolna na kraju łóżka i dała jej woń jakąś do oddychania, zaczęła lekko ocierać skronie.

Nie odzywała się do niej, nie śpieszyła z przywróceniem przytomności, jakby wiedziała z doświadczenia,

że ten stan pewien czas trwać musi, i że go gwałtownem niezem przerywać się nie godzi.

Marmurowo bladą była twarz Elżbiety, ale wyraz jej łagodny niewiele zmieniło cierpienie. Przykrzejsze nad nią wrażenie czyniły wyprężone zeszytwniałe ręce i ciało.

Hölzelinowa stojąc nad nią, modliła się ze złożonymi rękami, łzy ciekły jej po policzkach, a wzrok ze strachem biegał ku drzwiom, bo lękała się, aby ktoś obcy nie wparł się nagle i nie zobaczył chorej w tym stanie, który dla wszystkich musiał być tajemnicą.

Królowa leżała długo nieruchoma z wyprężonemi rączkami jakby umarła... a piastunka stała tak nad nią niema i drżąca, gdy nareszcie z ust jej dobyło się lekkie technienie, odrętwiałe członki poczęły się ugiąć i bezsilnie opadać, powieki podniosły się nieco. Kätchen zlekka ocierała skronie i przygotowany już napój ostrożnie do ustek przybliżyła. Nieostrzeżony prawie rumieniec ożywił lica zbładłe, życie powracało.

Elżbieta poruszyła się, powieki otwarły całe; zobaczyła nad sobą stojącą Kätchen, wyciągnęła ku niej ręce i zarzuciła na szyję. Uśmiech łagodny, dziwny, jak gdyby ze swykłego snu przebudzonej przebiegł po jej ustach. Nie zdawała się rozumieć, ani pamiętać co się z nią działo. Wracała do tej chwili, w której siły ją opuściły.

Słabszą tylko i straszliwie czuła się zmęczoną, ale napój podany ją orzeźwił.

— Kätchen—szepiała—bardzo, bardzo to wszystko trwało długo! Nieprawdaż. Widziałas go? mego króla narzeczonego? Nieprawdaż, że bardzo piękny jest? Takim ja wyobrażałam go sobie z obrazka przysłanego matce. Co za szlachetne rysy, jaka postawa pańska! I strój dla mnie wdział niemiecki. O! ja to zrozumiałam dobrze. Nie śmiał spojrzeć na mnie, abym ja bardziej się jeszcze nie zmięszała. Nogisnę ugięły podemną, cmiło mi się w oczach!

Z jaką wspaniałością oni mnie przyjmowali, z jaką serdecznością. Stary król ścisnął mnie jak własne

dziecię. Widziałam i czułam łzy jego. A! będę go kochać jak ojca.

Hölzelin słuchała nie odpowiadając, trzymała szklankę w ręku, przykładając jej napój do ust. Smutny wyraz twarzy malował duszną trwogę.

Elżbieta półgłosem mówiła ciągle.

— Prawda że on bardzo piękny? O! ja go kocham od dawna i on też kochać mnie musi, Nieśmiały jest. Spoglądałam często na niego gdy jechał przy mnie, ale rzadko zwrócił oczy w tę stronę... obawiał się! Tyle tysięcy ludzi na nas patrzyło.

Z tych tysięcy, prawda Kätchen? on najpiękniejszy, on najpierwszy? O! jak ja kochać go będę!

Hölzelin milczała, niekiedy ruchem głowy nieznanym to potwierdzając, to dając czuć, że słuchała bacznie.

— A starą królową—szepnęła—widziałas ją?

Elżbieta uśmiechnęła się jak wprzód.

— Patrzałam na nią ciągle — rzekła. — Mówiono mi, że zazdrośna jest o serce syna, którego kocha bardzo, ale się przekona, że ja, ja pomagać mu będę do kochania jej... musi być łaskawą na mnie. Oblicze ma surowe, groźne, ale się dla mnie rozjaśni ono, gdy pozna jak dobrą będę córką dla niej.

Zamilkła nieco i myśl wróciła znowu do narzeczonego.

— Kätchen, uważałaś ty jak mu na tym koniu przy moim powozie było pięknie? Ani książę Pruski, ani ten drugi z nim się mierzyć nie mogli. Wyglądali jak pacholkiwie.

Rozśmiała się.

Hölzelin pochyliła się nad nią.

— Jutro — poczęła cicho, starając się ją w łóżku wygodnie położyć — jutro dzień jest ciężki dla ciebie, moje dziecko, królowo, zmęczona jesteś bardzo, bardzo. Spocznij już.

— A! tak! — westchnęła młoda pani — ale w głowie

tyłe obrazów, przypomnień, myśli się płacze. Nie wiem czy zasnę. I raduję się i lękam, Kätchen, i śmiaćbym się chciała i płakać.

Wyciągnęła ku niej rączkę białą.

— Siedź nademną, moja ty piastunko droga—poczęła — tak jak niegdyś u mojej kolebki; gdy czuję cię przy sobie, spokojniej mi, bezpieczniej jestem.

Powoli oczy się jej przymykać poczęły, ale nagle powieki podniosła.

— Kätchen — rzekła — prawda? on mnie kochać będzie? Ja go tak już kocham teraz, a stanę się dla niego taką łagodną, posłuszną, tak miłą.

On wygląda smutnie, ale będzie musiał być szczęśliwym i wesołym.

— Śpijże i nie marz! — rzekła otulając ją Kätchen. — Zbudzą cię zrana i męczyć będą znowu dzień cały.

Nie dokończywszy westchnęła. Posłuszna Elżbieta przymrużyła powieki, ciągle uśmieżkiem zwodząc piastunkę, chociaż czuła się straszliwie znękaną. Hölzelinówna nie odstała od łóżka, aż ją zobaczyła naprawdę uśpioną — otarła łzy i siedząc modlić się poczęła.

Gdy się to działo w sypialni młodej królowej, dalej w głębi, na korytarzach pustych i ciemnych żywej nie widać było duszy. Dwór jeszcze ucztował na dole. Królestwo tylko i dostojniejsi goście rozjechali się i rozeszli.

Królowa Bona w sypialni swej zrzucała z siebie szaty i klejnoty, nie kryjąc gniewu i z niecierpliwienia. Panny służebne stojące i klęczące około niej, drżały od jej wzroku i ruchów gwałtownych, któremi je potraçała. Łańcuchy z brzękiem opadały na ziemię; zasłony zrywała szarpiąc, pilno jej było z tego stroju jak z kajdan się oswobodzić.

Zadna ze sług słowem się odezwać nie śmiała. Zaledwie rozebrana padła na krzesło Bona, gdy August jeszcze w sukni paradnej dnia tego ukazał się w progu.

Matka wyciągnęła ku niemu ramiona, a gdy się zbliżył uściśnęła go namiętnie.

Przytomność sług odezwać się jej nie dozwalała, lecz na widok młodego króla, natychmiast wszystkie pierzchnęły.

August siedział ze spuszczonej oczyma, z pomieszczanym i smutnym wyrazem twarzy.

— Ojciec twój — poczęła Bona — zmusza mnie, abym ją przyjmowała jak synową... ja ją nienawidzę! Ona mi chce wydrzeć serce twoje, ona jest nieprzyjaciółką.

Bądź mężczyzną, oprzej się uczynionemu nam gwałtowi. Niech weźmie koronę, ale serca twego, miłości mieć nie będzie.

To dziecko jest, a jak wąta!

Choroby wzięła po rodzicach... miłość jej, życie z nią może być trucizną. Ja nie chcę abyście żyli z sobą, ja muszę cię bronić!

Mówiąc tak przerywanym głosem, Bona chwyciła syna za rękę, natarczywie ścigała jego wejrzenie, starała się myśli odgadywać. August siedział zimny i nieodgadniony.

Niezmierne jakieś znużenie tylko poznać w nim było można.

— Idź już — odezwała się w końcu Bona — idź, nie chcę by cię widziano u mnie. Doniosą staremu, że ja cię buntuję i podmamiam.

August się schylił do pocałowania ręki matki, która ucałowała go w czoło i powtórzyła: idź.

W małej komnacie swej Dżemma, w wieczornym stroju zaniedbanym, z rozpuszczonymi włosami złotymi, które ją jakby płaszczem okrywały, siedziała na ziemi, twarzą w dłoniach, i płakała.

Była samą. Zwykle blada, miała teraz policzki gorącą spalone, oczy zmęczone, usta zaschłe.

Najmniejszy szmer w korytarzu ją poruszał, jakby ku drzwiom biedz chciała.

Usłyszała zbliżające się zwolna kroki i podniosła się. Rękę przyłożyła do serca, dech wstrzymując czekała.

Chód powolny zdawał się zwracać ku progowi jej mieszkania, zatrzymał, ucho pochwyciło szelest u klamki, drzwi uchyliły się zwolna. Przed nią stał August.

Obie ręce wyciągnawszy ku niemu Włoszka chciała się porwać z ziemi, lecz nim się poruszyła, on siedział już przy niej, objął ją wpół i całował.

Wśród uścisku odepchnęła go nagle od siebie.

— Nie! ty jej kochać nie będziesz! — zakrzyknęła — powiedz? Ty mnie dla niej nie zdradzisz? Ja jej nie zazdroszczę korony... będzie królową, ja pozostanę kochanką.

August odpowiedział uściskiem.

— Uspokój się Dzemmo — dodał głaszcząc ją po twarzy — powinnaś mi wierzyć i być cierpliwą.

Muszę spełniać wolę ojca.

— Ale ona za kotarę waszego łóża, w tajemnicy życia sięgać nie może — zawołała namiętnie Dzemmo. — Okaż jej zawczasu, że na serce i miłość narzucona rachować nie powinna.

A! zgmiotłabym ją i zdusiła to piskłę niemieckie, gdyby ręce moje jej dosięgnęły. Nienawidzę jej. Z jakim słodkim uśmieszkiem patrzyła na ciebie, bezwstydną!

Dzemmo zakryła sobie oczy.

Po chwili milczenia odsłoniła je, twarz pałała.

— A! mamy królową matkę za sobą — rzekła — ta nie dopuści, aby ona tu panowała, ta rozdzieli was, bo ją nienawidzi! Królowa jest tu wszechwładną... król musi uleść w końcu. Byleby przeszły te uroczystości weselne, byle się to raz skończyło, byleśmy zostali sami.

August wstał. Godzina była spóźniona. Dzemmo próżno zawisłszy mu na szyi, wstrzymywała go, służba z Opalińskim czekała na niego a wkrótce o przygotowaniach do ślubu i koronacji myśleć było potrzeba.

Dla królowej Bony były to dni do przebycia najcięższe, najstraszniejsze, za które się dobrze pomścić obiecywała.

Niezdolna do poskramiania się i udawania, czuła, że na jej twarzy obcy i swoi czytają, iż została zwyciężoną, że musiała być posłuszną, ona, która tu chciała i była w istocie panią.

Król Zygmunt nie dopuszczając do sporów, dawał rozkazy, potrzeba się było stosować do nich; lecz królowa na każdym kroku, w każdym ruchu dawała czuć publicznie, iż ulegała tylko chwilowo konieczności.

Twarz jej wyrażała oziębłość, pogardę, zaledwie stłumiony gniew i dumę.

Następny dzień byłznaczony na ślub i koronację młodej pani, i od wczoraj już w katedrze przysposobiano trony, zawieszano makaty i szpalery, wyściełano kobierce. Korona Jadwigi ze skarbca koronnego dobytą na aksamitnym wezgłowie, pokrytą kosztowną zastoną, czekała na wielkim ołtarzu na tę wątłą główkę, która pod jej ciężarem ugiąć się miała.

Stary król od rana naglił z gorączkowym pośpiechem, aby się obrzęd rozpoczął wcześniej, troskliwym będąc o synową, której bladość i lice delikatne obudzało w nim niepokój.

O świcie posłał się dowiedzieć jak spała? a gdy nadeszła godzina, gdy do kościoła udać się było potrzeba, chciał aby go co prędzej wyniesiono na spotkanie z Elżbietą. W wielkiej sali, do której go na krzesła, na ramionach wnieśli paziowie, Elżbiety nie było jeszcze. Zamiast niej stała Bona z córkami, z twarzą rozplamioną i przystąpiła natychmiast, nie zważając na przytomny dwór i urzędników.

— Najjaśniejszy panie — rzekła zburzonym głosem, z ironicznym poszanowaniem. — Słyszę tu, że młoda wasza synowa ma mnie poprzedzać w pochodzie i miejsce zająć przedemną...

To nie może być!

Zygmunt zwrócił się do marszałków.

— Takie jest prawo i obyczaj — rzekł jeden z nich.

— Prawo i obyczaj, mnie starszą, mnie matkę oddzieliłoby chciało od boku męża i zepchnąć gdzieś...

— Uspokój się — szepnął król cicho po włosku. — Zmienić tego nie możesz, a dasz ludziom na uragowisko... *Tace!*

Królowej oczy zaświeciły blaskiem krwawym, cofnęła się dumna.

W chwilę potem wszystko się ustawiło w takim porządku, jaki ceremoniał dworski wyznaczał.

Młoda królowa błada, z oczyma zmęczonemi, ale uśmiechem na ustach weszła, a Zygmunt Stary naprzód ją powołał ku sobie.

Na czele orszaku postępował król młody, u którego boku szedł książę Pruski, za nim niesiono na krześle, bo pieszo iśćby nie mógł, Starego Zygmunta.

Tuż za nim szła młoda królowa Elżbieta z rozpuszczonemi na ramiona włosami, z wyrazem dziewiczym, smutnym, czystym, jak Włosi się wyrażali, Madonna starego mistrza z Fiesoli. W istocie przypominała je wdziękiem, słodyczą, czemś anielsko-dziecięco-panieńskim. Za nią dopiero miejsce wyznaczone zajęła Bona, której pierś podnosiła się oddechem gwałtownym, a usta ścięły się spazmatycznie. Trzy córki i cały szereg pań i panien fraucymeru ciągnął się za Boną. Na przedzie, umyślnie za panią Salm ochmistrzynią postawiono Dzemę, piękną swą uderzającą, świetną, chwytającą za oczy, przeznaczoną na to, aby biedną osłabioną Elżbietę zgasiła i uczyniła godną tylko politowania chyba.

W przepelnionym kościele, w którym od tłumu, od świec, mimo pootwieranych okien panowało nieznośne gorąco, na tronie w chórze ustawionym zasiadł August w koronie na głowie. Narzeczoną stanęła naprzód

u boku jego. Ceremonie ślubem się rozpoczęły. Pruski i Lignicki książęta wiedli Elżbietę do ołtarza.

Wszystkich oczy zwrócone były na nią, obawiano się, że może osłabnąć, ale lice jej teraz nabrało wyrazu energii i siły, który piastunkę z daleka śledzącą ruch każdy, wprowadziło w zdumienie. Elżbieta zdawała się zmienioną, wzrok jej podnosił się śmiało i ruchy stały żywsze. Prostowała się i rosnać zdawała u ołtarza.

Stary ojciec patrzył na nią ze łzami w oczach, a gdy korona ciężka spoczęła na jej głowce, począł szeptać stojącemu przy nim Herbersteinowi.

— Gdy na tronie usiądziesz, pójdziesz powiedzieć jej odemnie, może zdjąć koronę. Wiem, że to ciężar nad jej siły. Położą ją na poduszce pod ręką.

W istocie gdy Elżbieta po koronacji z tą koroną zapowiadającą męczeństwo, z jabłkiem w jednej, z berłem w drugiej dłoni siadła na majestacie przy mężu, Herberstein przecisnął się przez tłum i szepnął radę, a raczej rozkaz starego króla.

Elżbieta spojrzała na męża, nie chciała się okazać słabą w oczach jego i odpowiedziała.

— Nie, korona mi nie ciąży, wytrwam tak do końca!

Po trzykroć w czasie nabożeństwa wracał Herberstein z tem posłannictwem do Elżbiety nadaremnie. Napróżno z dala błagała ją oczyma piastunka, młoda królowa nie zgięła się pod tem brzemieniem.

Przebrzmiały wreszcie pieśni ostatnie, młody król wstał z tronu i szedł pierwszy ku zamkowi, za nim młoda królowa, król stary, Bona i córki strojne wspaniale na końcu.

Obrzęd i nabożeństwo przeciągnęły się tak długo, a Zygmunt Stary sam już był tak znużonym i wątłą swą synową chciał zaoszczędzić, iż oprócz uczyty na zamku dla dostojniejszych gości, nic na ten dzień zapowiedzianem nie było.

U stołu, oprócz Zygmunta, który wesołość obudzić się starał i rozmowę ożywić był rad, dając znaki swoim, aby milczeniu ogarnąć się nie dopuszczali, na nieczyjej twarzy nie widać było swobodnego wyrazu. Spoglądano na siebie badająco, niespokojnie, Bona nie przemówiła słowa, August siedział martwy z oczyma spuszczo-
nemi przy żonie. Niekiedy głośniejsze odezwanie się ks. Samuela, uśmiech wymuszony hetmanowej Tarnowskiej, przerywały milczenie uparte, które natychmiast ołowianem brzemieniem wracało. Na licu młodej królowej nie widać było smutku ani zafrasowania, choć może połykała łzy, usta zmuszała do uśmiechu, oczy zwracała na męża.

Powtarzała sobie w duszy.

— O! on mnie kochać musi!

Dla wszystkich, nie wyjmując Zygmunta, czas ten przebyty u stołu wydał się nieznośnie długim, a gdy w ostatku dano znak wstawania, ciężar wielki zdawał się spadać z piersi wszystkich. Skinieniem ręki młoda królową powołał ku sobie ojciec i odezwał się do niej po niemiecku.

— Kochane dziecię moje, tyś znużona, ja stary także... dziś potrzebujesz spoczynku, idź więc spocząć sama, swobodna, abyś na dni następne, na turnieje, na ucty, na skoki sił nabrała.

Schyłoną pocałował w głowę.

Posłuszna młoda pani skierowała się natychmiast ku wyjściu, napróżno próbując pożegnać królową matkę, która zdala głową zaledwie skinęła, na jej pokłon odpowiadając.

August stał w niepewności jakiejś, postąpił kroków parę, lecz już panie, które młodej królowej towarzyszyć miały, wzięły ją między siebie. Spojrzała tylko na męża wzrokiem go żegnając, chociaż nie była pewną czy się wejrzenia ich spotkały.

Natychmiast cały dwór się rozsypywać począł i komnaty opróżniły.

Miano dosyć do czynienia na jutro i dni się gotując następane.

Dudycz, który ze swym oddziałem dworzan i sług zajęty był od rana i ledwie zdala miał zręczność na swe bóstwo spojrzeć, gdy szła do kościoła i powracała z niego, nad wieczór nareszcie chwilę mając na spoczynek swobodną, wydostał się z murów zamkowych, powietrzem wiosennem odetchnąć.

Maj dotąd był łaskawy, nie był ani zbyt słotnym, ani tak zimnym jak w kilka dni później.

Myśląc ciągle o Dzemmie, bo mocniej niż kiedykolwiek trwał w postanowieniu dobijania się o nią, sam nie wiedział, jak znalazł się u wrót zamkowych. Machinalnie jakoś skierował się ku miastu. W chwili gdy już miał wniknąć w bramę usłyszał pozdrowienie i z nader uprzejmym uśmiechem powitał go natarczywie wczorajszymi kupiec wenecki.

— Jakże się to szczęśliwie stało — rzekł — że ja was spotykam. Znajomych nie mam, błąkam się dzień cały, nie przemówiwszy słowa do nikogo. Nigdzie się docisnąć nie było można.

— A! jakże chcecie? — odparł Dudycz — dziś był najcieńszy dzień ze wszystkich; dzięki Bogu, że po stole stary król dał nam i sobie spoczynek.

— A młodzi państwo? — zapytał kupiec ciekawie. Poszli zapewne razem?

Uśmiechnął się Dudycz i potrząsnął głową.

— Młoda pani ma być bardzo zmęczona — rzekł — a królowi Augustowi podobno nie śpieszno do żony.

Włocha twarz wyraziła wielkie zdziwienie.

— Możeż to być? — zapytał — tak śliczna i miła pani, młodziuchna, wychowana...

— Widzieliście ją? — przerwał Dudycz, którego z kolei pochwała ta zadziwiła.

Włoch się zmięsział.

— Widziałem ją z daleka tylko—rzekł—ale wszyscy wszędzie to głoszą.

Szli, chwilę milcząc, ku wrotom. Kupiec ujął Dudycza pod rękę, jak gdyby go puścić nie chciał, a zależało mu wielce na przedłużeniu rozmowy.

— Od czasu jak tu jestem w Krakowie — odezwał się po chwili, ciągle się spotykam z różnemi pół-słówkami i alluzyjami, których nie dobrze rozumiem. I nie dziw, bo obcy jestem a widzę, że u was na dworze nie łatwo wszystko zrozumieć i kto chce się zbliżyć do ludzi, ostrożnie stapać musi. Bodaj czy nie dzieli się i dwór i kraj na dwa obozy?

Dudycz, który obszernie się rozgadywał o tem nie lubił, głową tylko kiwnął potwierdzając.

Kupiec uśmiechnął się.

— A wy, czcigodny panie, do którego się obozu liczyć?

— Ja? ja?—odparł Petrek zamyślając się—prawdę rzekłszy, trudno mi to oznaczyć. Jestem dworzaninem króla JMości starego, miałem zamiar wpisać się do dworzan młodego, a u królowej starej jestem też zapisany niegorzej.

I po chwili namysłu dodał naiwnie.

— Ja trzymam przedewszystkiem z sobą samym.

Zdawało mu się to dowcipnem i uśmiechnął się zadowolony z siebie, patrząc w oczy kupcowi, który dał mu aprobatę.

— Macie słuszość, to najbezpieczniej—rzekł.

— Jeśli się nie mylę — dodał Weneta po małym przestanku—przyznajcie się, ta wczorajsza piękna bardzo Włoszka, co tak dumnie siedząc, do nikogo się odzywać nie raczyła, nieprawdaż? wpadła wam w oko?

Dudycz się nie zaparł, był z tego dumny.

— Ha! nieprawdaż? na królowę wygląda? Taką panią w pomu posadzić, byłoby się czem pochwalić.

— Alem słyszał—przerwał kupiec — jakoby młody król się też do niej zalecał?

Petkowi nie czyniło najmniejszej przykrości przyznać się do tego. Rozśmiał się.

— No to co?—spytał.—Młody król żeni się z młodą i piękną królową, będzie więc musiał Włoszkę pozegnać. Na to czekam i rachuję.

Kupiec przyjął wyznanie z wyrazem współczucia.

— Można wam będzie powinszować—odparł. Uważałem ją wczoraj, przypatrywałem się pilno: piękna, młoda, pełno uroku, a król przecie o niej i o jej mężu pewnie będzie pamiętał.

— To się rozumie — rzekł Dudycz—choć ja na to nie rachuję wiele. Stanie mnie na zaspokojenie wszystkich fantazyi jej, byłem się ręki dobił.

— Sądziecie, że wam to teraz przyjdzie bez trudności?—zapytał Włoch niepomiernie ciekawy.

Petrek dziwnie zaczął kręcić głową.

— Ale, ale! — rzekł zwolna — nie tak to łatwo jak się zdaje... Włoszka wysoko patrzy, a co gorzej, starej królowej ona potrzebna, więc ją nie łatwo puścić.

— Potrzebna? na co?—badał Weneta.

Szli tymczasem ku miastu. Dudycz był w takim usposobieniu, że z niego wszystko łatwo mógł pytający wydobyć.

— Między nami mówiąc — odezwał się Petrek, z miną poważną, jakby zdradzał wielką tajemnicę stanu, królowa Bona, niewiasta nadzwyczaj przebiegła i zacięta, gdy co raz postanowi, nie cierpi młodej synowej, którą jej gwałtem narzucono. Zatrzyma więc kochankę, aby nie dopuścić syna do żony.

— A stary król czyż na to dozwoli?—mówił Włoch.

— Pewnie, że nie radby, ale czy starowina podoła—rzekł Dudycz.—On i jego pomocnicy idą prostą drogą, a królowa przez manowce i na przełaj; rychlej więc ona, niż oni celu osiągną.

— Zatem wasza sprawa źle stoi!—westchnął Weneta.

Dudycz wtórował mu westchnieniem.

— Nie desperuję—odezwał się—nie desperuję.

— Cóż myślicie?

— Jeszcze nic nie postanowiłem — rzekł Dudycz.

— Ja jestem sobie prosty człek, przebiegłością wielką się nie pochwalę. Mam za sobą dwie rzeczy tylko: upór i trochę pieniędzy.

— Obie nie do pogardzenia—odparł Włoch.— Można z niemi zejść daleko. Lecz — dorzucił—oczywista rzecz, że gdy tak rzeczy stoją, musicie trzymać ze starym królem. On i jego przyjaciele pomódz wam mogą.

— Tak i ja sędzę — przerwał Petrek. — Jednakże ze starą królową niech Bóg mnie broni zrywać i jej się narazić. Takiego robaka jak ja zgmiotłaby odrazu.

Nadzwyczaj uprzejmy kupiec wenecki, w tej chwili doszedłszy do Rynku, obejrzał się po kamienicach.

— Ja tu mieszkam u Montelupich — rzekł — bo mnie gościnnie przyjęli. Nie zechcecie na chwilkę zejść do mnie!

Dudycz się skłonił, a kupiec wprowadził go do mieszkania na dole, które zajmował. Tu w progu zaraz spotkała ich służba odziana po włosku, skromnie ale z pańska; i z gospody też poznać było można, iż Włoch, acz prosty kupiec, musiał być chyba zamożnym bardzo. Dziwna rzecz tylko, w jego mieszkaniu nie stanu, do którego się liczył, nie zdradzało. Na stole leżały książki, w kącie stała piękna broń, dokoła widać było dostatek. Lecz że wielu naówczas handlujących zajmowało w społeczeństwie stanowiska wysokie, nie zdziwiło to Dudycz. Siedli, podano na skinienie wino doskonałe, łakocie wytworne, a i podróżny sprzęt wyglądał bardzo pokaznie. Gdy słudzy się oddalili, kupiec rozmowę zerwaną zawiązał na nowo.

— Życzę wam powodzenia — rzekł — i bylebyście

wziąć się umieli do rzeczy, sędzę że zwycięzko wyjdziecie z tej imprezy.

Dudycz się uśmiechnął.

— Z osób wpływowych przy królu starym—rzekł znam dobrze pana Seweryna Bonera, znany jestem panu Decyuszowi i innym. Jak skoro im kochanka króla pocznie ciążyć i przeszkadzać, sędzę, że mi pomogą do ożenienia.

— A ona?—spytał Włoch.

— Ona! teraz—rozśmiał się Petrek—ani chce pa-trzeć na mnie, bo jej się zdaje, że zostanie przy królu młodym. Później rozum mieć musi... nikt się jej lepszy nademnie nie trafi, to pewna.

Weneta słuchał ciągle z zajęciem.

— He!—rzekł — wyście ludzie północy, u was tu wszystko idzie inaczej, powoli i nie śmiało. U nas na południu, ktoby jak wy chciał poślubić pannę, a kochał się gorąco, zamiast długo czekać, urządziłby sobie porwanie jej. Potem gdy to królowi na rękę, wziętoby was w opiekę i wszystko skończyłoby się gładko i prędko.

Dudycz głową potrząsał.

— Jeszcze nie czas, owoc nie dojrzał — rzekł. — Królowi staremu nie dosyć dokuczyła kochanka, mało się o nią troszczy. Trzeba czekać aż poczuje, że zawadza i młodej królowej serce męża odbiera.

— Ale nie dawajcież się zrazić i odbić—przerwał Weneta—bo ja wam pochwyci kto inny.

— Oto się nie ma co obawiać — rzekł Dudycz. — Mówiłem wam, uparty jestem. Tymczasem staram się sobie Włoszkę podarkami pozyskać.

— Przyjmuje ona je?

— Umiałem prawie gwałtem narzucić — uśmiechnął się Dudycz — ale toż takie były zaprawdę, żeby i królowie żał było je odrzucić, kosztowały też nie mało.

— Nie żałujcie na to — dodał Włoch.—Opłaci się później.

Po chwili kupiec znowu rozpoczął badanie.

— Cóż na jutro się zapowiada?

— Jutro młodej królowej składać będą podarki wszyscy — rzekł Dudycz — no... i nareszcie młode małżeństwo z sobą się połączy. Dano dziś słusznie spocząć królowej młodej, bo wczoraj strasznie się wydawała umęczoną.

— Ale nie chorowała? — zapytał Włoch, niespokojnie oczy wlepiając w Petrkę.

— Nie słyszałem o tem — odparł Dudycz. — Wydaje się delikatną i słabowitą w istocie, a ma przed sobą jeszcze kilkanaście dni tych festynów, któremi dobrze się umęczyć musi. Na turnieje choć z galeryi będzie patrzeć zmuszoną, a potem rozdawać nagrody. Wieczorem od tańca się nie uwolni.

— I myślicie że to potrwa aż dni kilkanaście? — zapytał Włoch.

— Tak mówią — potwierdził Dudycz.

Zaczęli potem ogólną rozmowę o osobach do dworu wchodzących, o które się Weneta pragnął poinformować. Zdziwił tem prostodusznego Petrkę, że od niedawna dopiero przybywszy do Polski, zdawał się już tu większą część ludzi znać nie tylko z nazwiska ale ze stosunków i położenia.

Niemniej dopytywał troskliwie, a Dudycz dla niego dogodnym był, bo mu wiernie powtarzał ten *vox populi*, który, bądź co bądź, najczęściej trafnie choć nie wykwinicie ocenia człowieka.

Sam on bowiem sądu nie miał o ludziach i charakterach, lecz słuchał i przejmował co mówili drudzy.

Rozmowa przy kubku jednym i drugim wina przedłużyła się do późna, i Dudycz siedział tu jeszcze, gdy właściciel domu, poważny, bogaty Montelupi, którego znał zdaleka, wszedł gościa swojego odwiedzić.

Obejście się z Włochem tym możnogo i w kupiectwie zajmującego stanowisko wysokie Montelupiego

dało Petrkowi do myślenia. Był bowiem z Wenetą jakby z osobą wyżej od siebie położoną i o której łaski mu chodziło, z wielkiem poszanowaniem i względami.

Dudycz ztąd ten wyciągnął wniosek, iż nowy jego przyjaciel, przynajmniej bogatym być bardzo musiał, ale z rozmowy całej niepodobna się było domysleć, ani czem handlował, ani jakie tu miał interesa; wprost zaś o to się dopytywać nie śmiał Petrek, i widząc że noc nadchodziła, pożegnał go.

Wygadał się tak ze wszystkim co miał na sercu i w pamięci, iż wyszedłszy z domu Montelupich, poczuł sam, że może zanadto był otwartym i gadatliwym. Ale obcy zdradzić go nie mógł.

Powrócił na zamek dosyć zmęczony. Tu wszystko spoczywało na pozór. Po kurytarzach i galeryach było cicho, ale w oknach wszędzie światła migały i przysłuchując się, szmer wszędzie pochwycić było można.

Dudycz śpieszył już do swej izdebki przy kredensach myśląc odpocząć, bo na jutro wiele miał do czynienia, gdy mijając jedne ze drzwi wiodących do mieszkań królowej Bony, zetknął się w nich z Zamechską.

Szła pośpiesznie i byłaby go pominęła, nie zdając się mieć ochoty do rozmowy, gdy Dudycz, który dawno jej nie widział a chciwy był zbliżyć się, pozdrowił ją.

— Sto lat jakim do miłości waszej nie mógł przemówić słowa! — zagadnął.

— Bo też na swobodną gawędę nie pora — odparła ochmistrzyni kwaśno. — Daj mi pokój.

— Chwileczkę! — błagał Dudycz ścigając ją do jej mieszkania.

— Czegóż chcesz?

— Czyż się pani moja nie domyślasz? — zawołał rozmiłowany, słodko jest choć pomówić o niej.

Weszli do kołnaty ochmistrzyni, która szydersko się rozśmiała.

— Co ci w głowie? Wybijże to sobie — rzekła —

przekonać się mogłeś przecie, że ona ani na ciebie chce patrzeć!

— A ja czekam aż się zmiłuje — dodał Dudycz — i właśnie myślę, że czas na trzeci podarek, który dwa poprzedzające zakasują.

— I po nim królowa cię znowu pošle do Kmity — rozśmiała się ochmistrzyni.

— Nie, teraz już nie — rzekł wesoło Dudycz. — Zmieniło się położenie.

Ochmistrzyni litościwie na niego spojrzała.

Zamechskiej, która zmęczona usiadła, w istocie żał być musiało biednego Dudycza.

— Szkoda mi cię — rzekła tonem protektorskim. — Jeżeli kiedy się może co zmieni, nie wiem, ale do tej pory ja nie widzę nic takiego, coby wam było korzystnem.

— Ależ król się ożenił! — odparł Dudycz — jasna rzecz.

Zamechska spojrzała w stronę ku pokojom Bony i wskazując je ręką, szepnęła.

— Tak, ożenił się, ale na przystęp do żony i poznanie się z nią bliższe pozwolenia ztamtąd nie ma. Nasza stara zła, zła i roznamiętniona przeciw staremu panu, przeciw młodej królowej, przeciwko wszystkim. Nigdy ją taką nie widziała. Długo się powstrzymywała, teraz wybucha.

Przy koronacyi dano jej iść za młodą panią... tego darować nie może. Przy pierwszej zrzeczności stary pan będzie miał co słuchać. Szczęściem teraz pełno gości i sam na sam się z nim nie spotykają, ale nie minie go chłosta.

A tymczasem na młodej będzie zemstę wywierać.

Zamechska pochyliła się ku niemu.

— Wiesz gdzie jest teraz młody, świeżo ożeniony pan?

Petrek podniósł głowę ciekawie.

— A gdzieżby być miał? u siebie.

Zamechska się śmiać zaczęła.

— Siedzi u kochanki, a matka pilnować każe, aby mu tam nie przeszkadzano — mówiła dalej ochmistrzyni.

Skrzywił się słuchając dworzanin.

— Jeżeli tak jest — rzekł — no, to stary król przecież dowie się o tem, i tempredziej zechce pozbyć Włoszki. To na moje koło woda!

— A! a! — przerwała Zamechska. — Starego króla chorego, zmęczonego, nikt takimi doniesieniami trapić nie zechce, a gdyby nawet się dowiedział, myślisz, że on może Bonie pannę z jej fraucymeru odprawić i że ona na to zezwoli. Na przekorę ją przy sobie trzymać będzie.

— Miał słusność Włoch! — szepnął zadumany Dudycz.

— Jaki? co? — spytała ochmistrzyni.

— Jaki? — odparł Petrek — nie umiem wam odpowiedzieć. Tak sobie, porządny Włoch, kupiec, z którym się poznałem przypadkiem. Radził mi wprost, ażebym Włoszkę porwał gwałtem... królby mi za to podziękował.

Spojrzał na zdziwioną ochmistrzynię.

— A wy, miłościwa pani, wy, ja sobie myślę, powinniście mi dopomódz do tego.

Z załamaniem rękami Zamechska odskoczyła od niego.

— Tobie się w głowie pomieszało? — krzyknęła — albo drwisz sobie ze mnie.

Dudycz wygadawszy się nie do rzeczy, spuścił głowę jak winowajca.

— Naprawdęby można myśleć, żeś ty z tej głupiej miłości oszalał — rzekła. — Nigdy nie przypuszczała nawet, ażebyś coś podobnego wymyślił.

— Ja tego nie skomponowałem — przerwał Dudycz. — Jejmość miałaś słusność, jabym takiej sprawy sam się nie domyślił, ale Włoch powiada, że u nich to rzecz pospolita.

Ochmistrzyni wpatrywała się w niego z podziwieniem.

— W twoim wieku! w twoim wieku! — zamruczała — tak się zadurzyć w kobiecie, która na ciebie spojrzeć nie chce, niepojęta rzecz.

Dudycz był dumny tem.

— Mniej stary jestem niż się wydaję — rzekł — no i zobaczy miłość wasza, że na swoim postawię.

— Teraz, kiedy Włoszka starej królowej najpotrzebniejsza? — spytała Zamechska.

— A staremu królowi największą zawadą! — dodał Petrek.

— Ale cóż nasz dobry, stary król znaczy? — zaszepotała ochmistrzyni.

Dudycz głową potrząsał.

— Da się to widzieć — zamknął — da się to widzieć.

To mówiąc wstał.

— Łasce i względem waszej miłości się polecam — rzekł z ukłonem.

— Aby ci do wykradzenia dopomagała! — szydersko zawołała Zamechska. — Nie takam głupia.

Dudycz już szedł ku drzwiom, i zawrócił się jeszcze ku ochmistrzyni.

— Jutro młoda królowa podarki przyjmować będzie — cicho. — Ciekawym co też Bona dla niej nagotowała. Wszak to nie musi być tajemnicą.

— Mylisz się i w tem — odparła ochmistzyni. — Daję ci słowo, żeśmy wszyscy, równie jak wy ciekawi, dowiadywali się u podskarbiego królowej, a jeżeli kto to Bruncaccio, który tu przybył z Chęcin, wiedziałby pewno. Włoszysko mi się zaklinał, że dotąd na jutro żadnego rozkazu nie ma.

— Jak? królowaby miała tak jawnie, wobec książąt i panów okazać swą niechęć, nie dając żadnego podarku! To nie może być, nadto jest mądra.

— Zobaczmy jutro, powiadam ci — potwierdziła Zamechska — nie da nic.

— Wypowie wojnę.

— Dawno ona zapowiedziana — zawołała ochmistrzyni.

— Król tego nie przebaczy! — odezwał się Dudycz.

— Potrafi się z nim rozprawić — dodała Zamechska. — Czekala nadto długo, chce wybuchnąć.

Petrek ręce podniósł do góry.

— Gdzie dwóch się kłóci — rzekł pocichu — tam trzeci korzysta.

Dobranoc życzę miłości waszej.

Na zamku w wielkich salach była uczta zapowiedziana, lecz wprzód jeszcze urządzono z polecenia króla Zygmunta w izbie złotej zwaną, owo uroczyste oddawanie darów młodej królowej, o którym była mowa.

Pierwsze naturalnie miejsce i tego dnia zajmowała młoda Elżbieta, której twarzyczka zmęczona, blada, oczy sińcami podbite, odbijały dziwnie od uśmiechu, na który się siliła. Spoglądała na siedzącego obok męża i jakby z niego siły czerpać chciała, szukała wzroku jego, który unikać się jej zdawał.

I tego dnia Hölzelinowa wdychając, czując jak pani ciężko będzie to dźwigać na sobie, musiała ją przybrać jaknajkosztowniej, obwiesić klejnotami, aby przy wszystkich tych kosztownościach, jakimi ją obdarzyć miano, nie wydawała się zbyt uboga.

Bona z nietajoną radością i ironią widoczną przypatrywała się zmęczonej, żółtkłej ofierze.

Stary król nie widział nic, był szczęśliwy. Zdawało mu się, że już odniósł zwycięstwo.

Naprzód tedy wniesiono dary męża, które stary król sam w jego imieniu z własnego skarbcza przygoto-

wać kazał. Były to trzy przepyszne naszyjniki: dyamentowy jeden, z rubinów i szmaragdów drugi, trzeci z szafirów z perłami. U każdego z nich zawieszony był klejnot, rodzaj medalionu, które duże wiszące perły kształtu gruszynek zakończyły.

Osiemdziesiąt par czarnych soboli i na okrycie ich złotogłów wschodni, dopełniały ślubny podarek. Za nim szedł dar ojca, Zygmunta, znowu trzy naszyjniki, jeden w kształcie łańcucha do kołnierza dyamentowy cały, dwa z innych kamieni drogich z perłami, z wiszącym klejnotem i krzyżem.

Ostatni był jakby błogosławieństwem.

Cesarz Karol V przez margrabiego brandeburskiego stał swoje godło zwykłe, aby dawcę przypominało. Był to wielki dwugłowy orzeł cesarski z dyamentów i rubinów, zawieszony na dziesięciu łańcuszkach dyamentowych. Z drugiej strony jego stały dwie dumne kolumny dyamentowe, z godłem *Plus ultra!* Karol V prześciął Herkulesowe słupy.

Drogi klejnot do noszenia na szyi z dyamentów i rubinów, odznaczał się perłą ogromną, grusieczką na hiszpańskim łańcuszku.

Były to zaprawdę piękne klejnoty, lecz drobne ich po większej części kamyki, wysokiej wartości nie miały. Wydawały się jednak wspaniałe.

Królowa Izabella węgierska złożyła u stóp synowicy cesarza cztery roztruchane pozłacane roboty Niemców siedmiogrodzkich, łańcuch szmelcowany i kilka drobniejszych innych.

Od siebie Jerzy Brandeburski, mąż Jadwigi, córki starego króla, Ludwik Palatyn, Otto Henryk, książę Palatyn Neuburski i kilku innych książąt niemieckich, a naostatni i Piotr wojewoda młotański, każdy przez posła osobnego składali w ofierze po większej części srebra kunsztownie trybowane i złoczone.

Z miast królestwa celowały Kraków z trzema roz-

truchanami złoczonemi, pięknej roboty, z których jeden z herbem miasta i Gdańsk z misternem naczyniem podobnem, na którym Judyth wyrażoną była. Elżbieta wcale do niej nie wydawała się podobną.

Żydzi także nieśli roztruchan złoczone.

Mijamy także wiele pomniejszych podarków.

Gdy po królu starym w początku zaraz kolej się zdawała przychodzić na Bonę, zatrzymał się na chwilę margrabia Brandeburski z podarkiem cesarza. Zygmunt obejrzał się niespokojnie. Bona siedziała z zaciśniętymi wargami, z wyrazem ironii na twarzy, nie patrząc ani na synowę, ani na męża, zimna, obojętna.

W istocie od niej nie było podarku żadnego, nic.

Uderzyło to wszystkich, szczególnież może posłów cesarza i tych co z Elżbietą przybyli.

Stary król spuścił oczy, drgnął, poruszył się spoglądając na Maciejowskiego, potem z wyrzutem na Gamrata, który rozpostarty w arcybiskupim krześle swem w inną stronę spoglądał. Młoda królowa dziękująca ciągle oczyma i ukłonami, nie zdawała się ani czuć ani widzieć tego braku. W zgromadzeniu czynił on wrażenie wielkie, które się dawało rozpoznać po nieśmiałych spojrzeńiach, jakie przytomni rzucali ukradkiem na swych przyjaciół i na dwór Bony.

Chwilowy ten tryumf odniosła Włoszka wprawdzie, bo w gniewie postanowiła okazać synowej swą niechęć, ale nadto była przebiegłą, ażeby wnet po fizyognomiach posłów cesarza i króla, po twarzy pani Solm i innych nie poznała, że się to w Wiedniu i Pradze odbija, a na Izabelli w Węgrzech i na jej posiadłościach neapolitańskich czuć dać może.

Widać było pewne pomięszanie na jej twarzy i jakby chęć zatarcia zbyt śmiałego kroku.

Trudno jednak było, to co się stało, odmienić.

Przy uczcie potem Bona, która siedziała obok męża, kilka razy go usiłowała wciągnąć w rozmowę. Zwra-

cał się do niej chmurny, z twarzą pogardliwą i dumną, lecz nie odezwał się ani słowa.

Milczenie to wprowadzie u Zygmunta nie było dziwnem, ale w dniu tym miało znaczenie wielkie. Nie spoglądał na żonę nawet, i zajęty był synową a gośćmi.

Zygmunt August, jak sądzić było można z jego fizyognomii, miał matce za złe wystąpienie publiczne, którego dobra polityka nie doradzała. Bona czytała potępienie w oczach wszystkich.

Wprawiało ją to w gorączkę jakąś. Gniewać się na siebie nie umiała, zła była na wszystkich.

Dzień ten zatruty od rana fałszywym krokiem Bony, ciągnął się długo niby na zabawach, a w istocie w męczących ceremoniach. Królowa stara usiłowała zapobiedz, aby małżeństwo młode nie zbliżyło się i nie połączyło dnia tego; ale Zygmunta rozkazy z góry oznaczony, ceremoniał nieubłagany, zmusił ją uledeż — i królowę Elżbietę wraz z mężem do ich sypialni odprowadzono.

Zaledwie się to dokonało, a król stary kazał się zanieść do swojego mieszkania, potrzebując wielce spoczynku, Gamrat z sali jadalnej pośpieszył za Boną do jej komnat.

Włoszka szła poruszona, zarumieniona gniewem i nie spostrzegła, gdy się zbliżył do niej. Dopiero gdy się zwróciła w mieszkaniu swem do towarzyszących jej panien, zobaczyła idącego za nią arcybiskupa.

Miał czoło zmarszczone i twarz zasępioną. Królowa rzuciła się na krzesło, odpinając łańcuchy i ściągając klejnoty, które na stół ciskała z gniewem.

Arcybiskup stał przed nią.

— Miłościwa pani — odezwał się — pozwólcie powiedzieć sobie, złe się stało! zaprawdę złe!

— Cóż się stało! — wykrzyknęła podnosząc się Bona.

— Jedna tylko matka nie dała nie królowej! — rzekł Gamrat — a stało się to wobec posłów, którzy jutro jeżeli nie dziś doniosą o tem cesarzowi i królowi ojcu.

Pomszczą się oni, nie daj Boże na Izabelli, na waszych księstwach.

Włoszka trzęsła się prawie konwulsyjnie z gniewu.

— Milecz! — krzyknęła groźnie, nie mogąc się pohamować. Tak chciałam i tak uczyniłam... złe czy dobrze, stało się. Gdy zechcę, wynagrodzę to.

— Nigdy — odparł Gamrat — żaden dar publiczny wyrządzonej krzywdy nie opłaci. W. miłość, co gorzej, zdradziliście się.

— Nie czyni mi wyrzutów — przerwała królowa. — Stało się, stało się.

— A! lecz bardzo złe się stało.

Nogą uderzyła królowa o podnózek i syknęła. Gamrat skłonił głowę i zamilkł.

Bonie łzy bezsilnego gniewu zakręciły się w oczach.

Wtem szmer we drzwiach się dał słyszeć — marszałek wzywał pokornie najjaśniejszą panią, aby się do króla imości udać raczyła:

Znaczenie tego wezwania łatwo było odgadnąć. Bona się musiała przygotować na srogie, gorzkie wymówki. Przewidywała to z góry i gotową była raz długo odciągana wojnę rozpocząć.

Gamrat szepcząc coś, starał się ją napróżno uspokajać, wstała coraz się mocniej burząc i rzucając. Nie odpowiedziała mu nawet, szła szybkim krokiem wprost przez puste komnaty wewnętrzne do sypialni Zygmunta.

O tej porze król stary zwykle w łóżku już bywał, zastała go siedzącym w krześle jeszcze, a kapelan, który się do odmówienia z nim wieczornych modlitw, odroczo-nych, gotował, stał u drzwi drugich i pod pachę ujawszy książkę zniknął.

Nim Bona przystąpiła bliżej, nie śpieszacy się zwykle z mową król, wybuchnął tak, jak od dawna już nigdy nie trafiało mu się gwałtownie.

— Przed całym światem potrzeba ci było okazać te rany, które nam zadajesz, tę truciznę, którą nas poisz, kobieto bezrozumna!

Dumnie stanęła Bona, wyciągając rękę.

— Przyprowadziliście mnie do ostateczności — poczęła wrzaskliwie. — Chcieliście ze mnie lalkę jakąś zrobić, która tak skacze jak jej każą. Taką ja nigdy nie byłam i nie będę. Syna mi odbierają.

Zygmunt po włosku, cicho, pojedynczemi wyrazami, przerywanemi, poprostu już łajał królowę.

— Nie krzyczcie — zawołał w końcu — potrzeba ci aby na całym zamku wiedzieli wszyscy aż do pacholków, że u nas zgody nie ma, ani między małżeństwem, ani w rodzinie.

Chciałeś uderzyć Elżbietę, a własną córkę, swoją najukochańszą Izabellę raziłaś. Myślisz, że ci to cesarz przebaczy?

Bona słuchając rzucała się i płakała razem, a przeklinała.

— Miałam ja jej dawać podarki? Za to, że mi się tu wparła między mnie a syna, między mnie a ciebie... ta błąda wynędzniała, schorowana dziewczyna, która chorobę może przynieść jednemu synowi memu!

Miałeś się dobijać o co! Nawet lichych trzydziestu tysięcy złotych, na które ze stu zeszło, nie mają czem za nią wiana zapłacić!

Ja tu przecie coś przyniosłam, i coś znaczyć powinienam. Wy mnie chcecie pognać, odsunąć, zaćmić dać tej niemieckiej...

Mówiła ciągle, a Zygmunt jedno powtarzał, równie gniewny jak ona.

— Milcz! milcz!

— Nie będę milczała! będę głosić całemu światu — wołała — jestem matką, jestem królową, mam tu prawa, których sobie wydrzeć nie dam. Potrafię się zemścić...

Sceny podobnych wyrzutów, kłótni, które dochodziły niekiedy do tego, że Bona się na podłogę rzucała jak bezprzytomna, powtarzały się bardzo często. Zygmunt był do nich nawykły i wiedział też, że nigdy z nich nie

wychodził zwycięzko. Złamany, osłabiony musiał ustępować w końcu.

Dnia tego jednak zbyt czuł mocno obelgę synowej uczynioną, by mógł uznać się winnym i zwyciężonym.

Wejrzeniem groźnem mierzył Bonę, ręką uderzając o poręcz krzesła.

Włoszka lamentowała jak zawsze z tego samego wiekuistego tematu, który się ciągle przez długie powtarzał lata.

— To wasza wdzięczność za to, że ciemno staremu i twojemu barbarzyńskiemu krajowi poświęciła moją młodość, że ciemno mojem złotem ratowała, że ciemno tu prześladowana, nieszczęśliwa! zmarnowała się, otoczona wrogami.

Łzy i przekleństwa przerywały te wykrzyki, Włoszka ruchami rąk konwulsyjnymi to na sobie rwała odzienię, to na starego króla zdawała się godzić, który siedział nieruchomy, zaszepiony, ale nieprześlągany.

— Ty i twój — wtrącił — nie daliście mi nigdy spoczynku. Czegom ja chciałem, temuś się sprzeciwiała. Twój zausznicy stawali mi na drodze. Przez ciebie u ludu mego i u świata straciłem poszanowanie...

Twoje spiski...

Bona poskoczyła, mówić mu nie dając.

— Gdyby nie ja — zawołała — gdyby nie pieniądze moje, nędzarzem byś był. Musiałam łożyć na dzieci, wspomagać ciebie, zasiląć skarb.

— A pieniądze nie z twoich neapolitańskich dzierżaw, ale z moich nadań i łaski ciągniesz! — rzekł Zygmunt. — Milczże i upokórz się, niegodziwa!

Wyrzuty króla wcale do uspokojenia dopomódz nie mogły. Bona unosiła się coraz więcej, mocniej coraz i wkrótce niepodobna było zrozumieć co mówiła, tak dziwnie zawodziła głosem.

Walczyć z nią na słowa Zygmunt nie umiał nigdy. Kilkakroć powtórzywszy swe zwyczajne:

— *Tace, fatua!* — zamilkł, podpart się na rękę

i słuchał wołania, łajania, krzyków, jęków najobojętniej. Nie robiły one na nim żadnego wrażenia, czekał do końca.

Bona wysilona wreszcie, zamiast na krzesło rzuciła się na ziemię, i łkała zanosząc się płaczem gniewliwym.

— Słuchaj! — odezwał się Zygmunt poważnie — jeżeli ci twoje szaleństwo rozumne słowa da pojąć. Nie sądź, ażebym uległ tam, gdzie idzie o przyszłość jedyne-go syna mojego i tej synowej, którą ukochałem jak własne dziecko! Ty chcesz przed Bogiem poprzysiężone małżeństwo rozdzielić... ja tego nie dopuszczę.

Okażę ci, że panem tu jestem i być potrafię.

Na chwilę ucichłszy, gdy mówił te słowa, Bona zerwała się z ziemi i rozśmiała szydersko.

Śmiech ten niespodziany, straszny, biednego Zygmunta przeszył jaknajstraszniejsza groźba, pobladł, zatrząsł się, zamilkł.

Nie mówiąc nic Bona, zmierzyla oczyma bezsilnego starca, dumnie wyprostowała, podnosząc głowę, skrzywiła usta i rzekła obojętnie.

— Masz mi co więcej powiedzieć jeszcze? Groźb twoich wcale się nie lękam. Kocham syna mojego i póki żywa bronić go będę.

— Cóż mu to grozi? — przebaknął król gniewnie — co?

— Pożycie z nienawistną, z narzuconą, ze wstrętliwą kobietą, która tu będzie szpiegiem i sługą cesarza i swego ojca, nieprzyjaciół moich i Izabelli.

— Mogłaś ich pozyskać jako sprzymierzeńców, a robisz ich sama wrogami.

— Bo oni nigdy niczem innem być nie mogą i nie będą — zawołała Bona. — Ciebie zdzieciniałego starca uwodzą, mnie nie potrafią.

Zygmunt nakazał znowu milczenie, a królowa odpowiedziała uśmiechem.

Sprzeczką i waśń byłyby się przedłużyły pewnie, gdyby nie zaskrobano do drzwi.

Gniewnym wzrokiem rzuciła królowa na nie, nie pojmując kto mógł tak zuchwale dobijać się tu, gdy ona była na rozmowie z królem. Łatwo się wszakże Zygmunt domyślił, iż kto inny być nie mógł nad lekarza.

Co dziwna nie króla doktor zwykły, ale królowej Nicolo Catignani, ukazał bladą, długą twarz, otoczoną włosami czarnymi, w prostych kosmykach spadającymi na ramiona i do królowej po włosku się odezwał, że Zygmuntowi potrzebnym był odpoczynek o tej godzinie.

Choć zwykle Catignaniego rady i rozkazów słuchała, Bona była nadto wzburzona tym razem, aby milcząc przyjąć przestrożę.

— A pocóż mnie tu zawołano? — odezwała się na wpół do doktora, wpół do męża. — Nie myślałam mu wcale przerywać spokoju. Kazano mi przyjść jak dziecku, aby je skarcić.

Król syknął, nie rad był tym zwierzeniom przed obcym, ale Bona dla niego tajemnic żadnych nie miała.

Catignani wszedł, wcale nie zmieszany, pokłonił się Zygmuntowi, rękę kładnąc na piersi, zbliżył do Bony, z poszanowaniem ale nalegając szeptać jej coś zaczął i opierającą się, gniewną, w ostatku swoją powagą potrafił do wyjścia nakłonić.

Trochę opodał odedrzwii czekali komornicy ze światłem, którzy Bonę, jeszcze całą poruszoną i ledwie oprzytomniałą do jej pokojów odprowadzić mieli.

Tak była zaślepiona gniewem, iż Catignani po kilkakroć wskazywać jej musiał kierunek w jakim iść miała.

W pokojach czekał na nią Gamrat, który chciał wiedzieć na czym się skończyła ze starym rozmowa. Pytał o to nie bardzo potrzebował. Dosyć było spojrzeć na wywróconą, zmienioną twarz Bony, istną głowę Meduzy.

Gamrat to wysłał Catignaniego, aby zbyt długi spór i dla obojga królestwa niebezpieczne wybuchy pokromił.

Włoch posadziwszy panią swą w krzesło, poszedł

po lekarstwo na wzburzoną krew i nerwy. Przyniósł jej kubek zgotowanego napoju, część jego naprzód wypił sam, gdyż w obawie trucizny, Bona nigdy inaczej lekarstw i pokarmów nie przyjmowała, i otarłszy ręcznikiem kubek podał go pani.

Wzdrygała się wziąć go do ust.

— Lekarstwo? co mi ono pomódz może? Jestem prześladowana, upokorzona, zagrożona.

Gamrat przerwał uspokajająco.

— Miłościwa pani — rzekł — więcej zagrożeni są nieprzyjaciele twoi. Potrzeba tylko, ażebyś zachowała tę zimną krew, którąśmy tak długo w tobie uwielbiali. Wrogom okazać, że ich pociski nas dosięgają, jest to im dawać zwycięstwo. Oni drżą teraz, a wasza miłość mozesz się im uragać.

Zwolna mowa arcybiskupa razem z napojem lekarza poczęły działać na Bonę. Otarła łzy, zacięła usta, słuchała pochlebstw i dumiała.

Catignani sprawiwszy co było jego obowiązkiem, usunął się do drugiej izby i siadł tam na zawołanie, przy pannach, które na służbę wyznaczone jak on skinienia czekały.

Ze stosunkowo szybkiego uspokojenia Bony wnosić było można, iż wybuch gwałtowny u starego króla był może umyślnym i gniew wymuszonym dla postrachu, któremu Zygmunt często ulegał.

— Postawili na swoim — szepnęła Bona Gamratowi. — August musiał pójść tam... lecz tem gorzej, tem gorzej. Wiem, że ze wstętem z nią pozostał. Na oczach Elżbiety zobaczycie jutro ślady łez.

Od jutra potrafię ich rozdzielić. Catignani i inni lekarze wszyscy zgodnie mówią, że jej choroba może się przenieść na małżonka. Któż wie? Elżbieta ma starą niemkę przy sobie. Ostrzegłam aby w łóżnicy nie nie pił... Mogą mu zadać flirt jakiś, mogą użyć czarów, aby go ku niej pociągnąć.

Nie odzywał się Gamrat długo.

— Miłość wasza — rzekł w ostatku — trwożysz się zbyt. Król młody jest panem rozumnym, ostrożnym, włada sobą i nie dopuści się ani upoić, ani oczarować.

Młoda królowa, dziecko, do tego nie jest zdolną, stara ochmistrzyni nazbyt tu obcą i onieśmiałą, aby się ważyła.

— Rozdzielić, rozerwać potrzeba to małżeństwo wstętlive — dodała Bona pośpiesznie. — Postaram się o to co najprędzej, aby Zygmunta wysłano.

— Dokąd? — zapytał Gamrat.

— Na Litwę — odparła Bona. — Król możeby mu dał rychlej Mazowsze, bo o swą Litwę zazdrosny, ale ja nie chcę, aby zawładnął Mazowszem. Mam inne zamiary.

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Na Litwę — rzekł — gdy wyprawicie go, a posiedzi dłużej, doniosą o tem do Pragi, dopomni się groźnie ojciec, aby żona jechała za nim, Oprzeć się temu będzie trudno. Straciecie ich z oczu oboje, a naówczas...

Bona rękami strzepnęła.

— Masz słusność — zawołała — ja ich od siebie puścić nie powinnam, ale oboje razem tu trzymając, zapobiedz będzie trudno, aby się nie zbliżyli do siebie. Król stary jest uparty, August ma serce miękkie, może w nim litość obudzić. Trzeba ich rozłączyć, trzeba znaleźć środek jakiś...

Gamrat przerwał.

— Nie widzę żadnego innego, oprócz wyprawienia na Litwę lub Mazowsze, ale pilno czuwać przyjdzie, aby mu stary król małżonki nie posłał.

— Może się zapobiedz, ściągnąć — szepnęła królowa. — Będę pracować, czuwać, przeszkadzać.

To mówiąc, rękę białą położyła na ramieniu.

— Jesteś przyjacielem moim, ty jeden — odezwała się — widzisz jak ja niebezpieczeństwo i pomożesz mi do zapobieżenia złemu.

Dopóki stary król żyje, jam tu panią. Jeśli Augusta serce stracę i władzę nad nim, po śmierci męża zostać mi przyjdzie służebnicą! Nigdy! nigdy!

Nie stworzoną jestem do ulegania, nie potrafię kłamać. Augusta miłość, Augusta uległość muszę pozyskać teraz, a ta kobieta, to dziecko mi go odebrać może.

Wolę wszystko nad to! wolę aby umarła! — dodała zniżając głos.

Gamrat nie odpowiedział nic, lecz nie dał znaku przyzwolenia. Słuchał zimny i znużony.

Bona mówić nie przestawała.

— Cesarz — ciągnęła dalej — ma zbyt wiele do czynienia w cesarstwie, aby się zbyt pilno dowiadywał, co się u nas dzieje. Listów potajemnych od niej nie dopuścimy.

Gorzej będzie z ojcem, jest bliżej, a od niego zależy los Izabelli!

A! trzeba mi było tego, ażeby sprawa jednego dziecka z drugiego losem była w przeciwieństwie!

Izabellę i jej dziecię ratując, musiałabym Augusta stracić. Nie! nie!

— Mamy Turcyę za sobą — rzekł Gamrat — zyszczyć może króla francuzkiego. Bądź co bądź, poganin jest z nami. Kolą nam tem oczy, że z nim się tajemnie znosimy.

Oburzyła się królowa tym zarzutem.

— Głupi tylko ludzie mogą mi to mieć za złe — wykrzyknęła. — W polityce niema pogan ani chrześcijan, są tylko sprzymierzeńcy i wrogowie!

Gamrat zdawał się być tegoż samego zdania, bo nie zaprzeczał.

— W tych dniach Greka się spodziewam, którego mi wysłać obiecano — dodała królowa. — Przekupię go aby stanęli po stronie Izabelli i Węgrów sobie wydrzeć nie dali. Francuz wyjechał, czy nie z listami memi do Paryża?

Arcybiskup głową potrząsnął.

— Niepodobna go było odprawić — rzekł po cichu. — Treść listów trzeba dobrze rozważyć.

— Ale właśnie teraz — dodała królowa — wśród tego przekłętą zamętów weselnego, niepostrzeżenie najłatwiej było wysłać je.

Pomyślcie o tem.

— Turnieje i zabawy potrwać jeszcze dni kilka — odezwał się Gamrat. — Czas mamy. Stary król zdaje się bawić niemi.

— On? — rozśmiała się Bona — zmęczony jest straszliwie — ale to czyni dla nienawistnej tej Niemki. Sądzi że jej tą świetnością oczy zakryje, aby nie spostrzegła jak ją tu nienawidzą wszyscy.

— Nareszcie kiedyś się to skończyć musi — przerwał Gamrat. — Książęta Pruski i Lignicki długo siedzieć nie będą. Porozjeżdża się to powoli, zostaniemy sami.

Zadumała się królowa. Gamrat dał jej tak ukoić się trochę i widząc uśmierzoną rzekł powolnie.

— Powrócić wam trzeba, miłościwa pani do dawnego trybu, do obojętności pozornej, do chłodu. Wiele rzeczy nie widzieć, nie słyszeć i nie rozumieć.

— Tak, uniosłam się — odparła królowa — przyznaję to, alem wytrzymać już nie mogła, tak długo w sobie zmuszona ukrywać to wrzenie, które przybycie Elżbiety do wybuchu doprowadziło!

— Starego króla ukolyszcie! — dodał Gamrat. — Wnoszę z tego coś miłość wasza tu z sobą przyniosła, że burza musiała być nie mała, a rozstanie bez pojednania.

Bona wstrząsnęła ramionami.

— Gdy zechcę — odezwała się — jednym skinieniem go uspokoję. Potrzebuje stary wypoczynku, ulegnie.

— I z tem będzie lepiej — dokończył powstając arcybiskup. — Wstępny bojem my tu nie nie poradzimy, ale podstępny tylko!

Uśmiechnął się, królowa rękę mu podała.

— Nie opuszczajcież mnie — dorzuciła szybko. — Ty, Kmita, Opaliński, na was rachuję. Opaliński teraz wiele może. Stanie na straży młodej królowej, krokiem od niej nie powinien odstąpić... ani Augusta, ani jej nie spuszczać z oka.

— Na Opalińskiego miłość wasza rachować możesz — odezwał się Gamrat — a on dobrze rozumie położenie.

— Powtórzcie mu, że na wdzięczność moją liczyć może. Jutro rano chcę się z nim widzieć.

— Ta noc, ta noc — szepnęła Bona wstając — a Augusta wyrwać ztamtąd nie mogę.

Zaledwie drzwi się za Gamratem zamknęły, gdy w drugich ukazała się trupia, straszna twarzyczka mniszki Maryny, tej sługi królowej, która jak cień stała wszędzie i zawsze przy niej za nią, gdy nikogo nie było, gdy wszystko stało zaparte, a żadne ludzkie oko ni ucho nie mogło się wcisnąć.

Gdy cała służba odchodziła, gdy zamki wszystkie zapadały, gdy Bona pozostawała sama, Maryna musiała stać przy niej. Szła tak, że słyhać jej nie było, a jednak królowa wiedziała, że ma ją za sobą. Skinęła ku szafie, nie mówiąc słowa, Maryna poszła ku niej powolnym krokiem, dobyła szkatułkę, przyniosła ją i postawiła na stole przed Boną. Z brwiami zmarszczonemi, zwolna królowa kluczyki wzięła z woreczka u pasa, otworzyła zamek i wzrokiem niespokojnym poczęła się przypatrywać leżącym w niej klejnotom. Z głębi świeciły, błyszczały, promieniały różnobarwnie drogie kamienie, rubiny krwawe, szmaragdy i szafiry, opasane brylantami; drżącą ręką chwyciła Bona dwa czy trzy kanaki, które z kolei rzuciła nazad, naostatek dobyła naszyjnik podobny do jednego z tych, które zrana ofiarowano Elżbiecie. Pochodził on zapewne z klejnotów wyprawnych królowej, gdyż z jednej strony herb Sforzów stał wy-

emaliowany, wąż ów pożerający dziecię — ale złotnik omyłką, zamiast dziecka, w paszczę smokowi rzucił go-rejące płomie.

Bona obejrzała klejnot bacznie, jakby chciała wartość jego ocenić, i wzięwszy w rękę, zamknęła szkatułkę, którą Maryna na miejsce odniosła.

Podeszła kroków kilka, a służka co jej każdą myśl tak doskonale odgadywać umiała, nie potrzebowała wskazówki, by wiedzieć co ma czynić. Wzięła w rękę świecę i szła poprzędzając panią.

W kurytarzach panowała cisza i z dołu tylko od służby i dworu, który jeszcze się nie udał na spoczynek, dochodziły stłumione głosy. Bona szła długo za Maryną, a gdy ta stanęła u drzwi i uchyliła je, znalazła się w mieszkaniu Dzemmy.

Słabe światło stojącej w kątku lampki komnatkę w półmroku zostawiało. Nikogo widać nie było, tylko jęk jakiś stłumiony doszedł uszu Bony.

Dzemma z włosami rozrzuconemi leżała na podłodze z twarzą na kobiercu... nie widziała nic, nie słyszała wchodzącej. Królowa stanęła nad nią długo się przypatrując, nim otwarłszy oczy Włoszka ją zobaczyła i poznała.

Zwolna podniosła się, ale ból, który ją rzucił obezwładnioną i bezprzytomną na podłogę, odebrał siły, wstać nie mogła.

A cóż dla niej znaczyła w tej chwili królowa i wszystkie w świecie królestwa, gdy ten jedyny, co dla niej był światem, porzucił ją, stał się jej niewiernym.

Zazdrość odbierała jej przytomność, wpatrzyła się w Bonę nie mówiąc słowa, jakby pytała wzrokiem czego ona od niej chce może?

— Dzemmo! co tobie? — cicho poczęła królowa, łagodząc głos, w którym brzmiał gniew ranny i zbuzwienie — co tobie *poverina*? podnieś się, przyszedł cię pocieszyć, dziecko moje. Ja tak samo jak ty cierpię...

i mnie go odebrano, ale to nie potrwa długo, my go mieć będziemy i nie dopuścimy aby wydarto.

Jęknęła Dżemma podnosząc się.

Wstydziła się użalać i boleć przed królową, ale czyż cała jej postać, łzy, twarz, niemota nawet nie mówiły za nią?

Bona była dziwnie czułą i litościwą, pochwyciła ją za głowę, ścisnęła, zaszeptała coś i dobywszy klejnot z za sukni włożyła go w ręce Dżemie.

— Widzisz — rzekła — wszyscy jej dziś przynosili podarki, ja nie dałam nic, umyślnie! a tobie, dziecko moje, którą serce syna mego wybrało, zawieszam na piersi ten stary mój panieński klejnot, który August zna dobrze. Możesz się w niego przystroić. Ale mężstwa Dżemmo! mężstwa. Łzy nie pomogą, bo nikt się nie ulituje nad nami... trzeba walczyć zuchwale... w Augustcie znajdziemy sprzymierzeńca. Ja cię nie opuszczę.

Dżemma całowała, płacząc, ręce królowej.

— Oczu sobie nie wypłakuj, serca nie psuj... to chorowite dziecko oddamy doktorom; nie ma obawy, aby się w niej August rozkochał.

Poszeptawszy jednak na ucho Dżemie, Bona pogłaskała ją po twarzy, po głowie, obejrzała się dokoła i wyszła, a mniszka Maryna w milczeniu, cicho stapając, odprowadziła ją do sypialni.

Dniało, ale wiosenne niebo całe powleczone było gęstemi chmurami szaremi, które leniwo, powoli zdawały się z boku na bok obracać. Na wschodzie, tam gdzie słońce ukazać się miało, z za oparów różowy, słaby blask przyświecał czasami i silne chmury przysłaniały go natychmiast.

Nad rankiem dopiero w mieście i na zamku sen zmorzył nawet najzawziętszych opojów i kosterów, któ-

rzy korzystali z wesela, aby się upoić i oszaleć. Wśród ciszy tej ledwie szmer jakiś z lekkim jak westchnienie wiatrem przebiegał powietrzem.

W sypialni młodych królestwa otwarły się zcicha drzwi i kroki ostrożnymi wyszedł ktoś z niej. Lampka dopalała się zdala, za zasłoną łoża drganie jej zdradzało życie.

Łoże stało na pół opróżnione, a z drugiej strony jej siedziała, z rękami na piersiach złożonemi, z włosami rozpuszczonemi, młoda królowa zadumana.

Była sama. Uśmiechniętego owego dziewczęcia, które tak wdzięcznie przyjmowało dary i powinszowania, trudno było poznać w tej twarzyczce smutnej i głęboko zadumanej, jakby nagle czarodziejskiej różdżki dotknięciem dojrzałej. Oczy jej patrzyły przed się nieruchomie w mrok komnaty, ale nic nie widziały, nie dostrzegły nawet na palcach, pocichu, ostrożnie zbliżającej się Hölzelinowej, która uchyliwszy kotary, szukała dziecka swego macierzyńskimi, niespokojnymi oczyma.

Piastunka nie śmiała się zbliżyć długo, z postawy chciała odgadnąć coś. Elżbieta postrzegła ją wreszcie i obie ręce chciwie ku niej wyciągnęła.

Zbliżyła się Kätchen, a królowa wedle dawnego zwyczaju objęła ją drobnymi rączkami za szyję, głowę złożyła na jej ramieniu i pozostała tak mileżąca, przymnawszy oczy, jakby spoczynku potrzebowała.

Westchnienie się z ust jej wyrwało.

— A! Kätchen — szepnęła — Kätchen... Co za noc okropna, jaka ona była długa. Kätchen, jak ja ją inaczej wyobrażałam sobie... On! on! ten, którego ja tak kocham od dzieciństwa, mój pan, mój król, miał raz pierwszy zbliżyć się do mnie, mieliśmy być sami. Przygotowałam się tak serdecznie paść w jego ramiona, i płacząc mu powiedzieć wszystko. Jak go kochałam, jak tęskniłam za nim, jak teraz jestem szczęśliwa. Kätchen... był tak zimny jakis, zastygły, mileżący, obojętny... nie wiem, może nie-

śmiały, może jak ja bojaźliwy, że usta mi zamknął. Kätchen... nie śmiał się nawet przybliżyć do mnie, jakże ja miałam zdobyć się na odwagę?

Westchnęła młoda królowa.

— Ale, nieprawdaz? to tak zawsze z młodemi małżeństwami być musi.

Hölzelinowna nie odpowiedziała nic, a królowa poczęła po małym przestanku:

— Może on mnie nie kocha? może on się mnie lęka? może on wie, że ja czasem nagle zapadam w ten sen, jakbym już była umarłą i lękał się, abym ze wzruszenia nie omdlała?

Kätchen przerwała nagle.

— Ani on, ani nikt z tych, co tu są, nie wie o tem, nikt wiedzieć nie powinien; powinnaś zapomnieć o tem, nie myśleć, aby się to nie powtarzało. To nie jest chorobą żadną, ale wprost zmęczeniem. Sił ci przybędzie, sny te ustaną.

Elżbieta zamyśliła się.

— A! żebyś wiedziała—rzekła—jak się ja obawiałam ciągle, aby mnie to nie napadło przy nim, teraz. Drżałam i modliłam się. Gdy wszyscy wyszli, zwrócił się ku mnie, zaledwie siłą mając powiedzieć mi, że muszę być bardzo zmęczoną i potrzebuję odpoczynku. Patrzałam na niego, wzywając aby się zbliżył... nie miał odwagi, stanął z daleka. Wzrok miał roztargniony. Siadł na krześle przy łóżku, głowę pochylił na dłonie... ale na próżno udawał, że nie patrzy na mnie, spotykałam wzrok jego. Mnie pierwszej odezwać się, Kätchen, wszak prawda, nie wypadło? alem się nie kładła, siedziałam na łóżku zwrócona ku niemu.

Na starej, osmuconej twarzy Hölzelinownej malował się niepokój i trwoga, a łzy stawały na powiekach.

— A! on dobry jest, łagodny—poczęła Elżbieta— a tak szlachetną ma postawę, a tak miłe słodkie wejrzanie, ale nieśmiały bardzo! Wiem pewnie, że tak jak ja

musiał szukać słów, chcieć i nie módz się odezwać, że czekał może, abym ja poczęła, a mnie biednej brakło tego czarodziejskiego słowa, coby jemu i mnie usta i serce otworzyło. Ale jutro, jutro! a przyjdzie już łatwiej... jutro będziemy starzy znajomi, ja spodziewam się być śmielszą, nie tak bić mi będzie serce!

W miarę jak królowa mówiła lice Hölzelinownej smutniało coraz, rozplakana poczęła drobne, białe, zastygłe rączki dziecka swojego całować, położyła je na poduszki, okryła.

— Zaśnijże teraz!—zawołała—spocznij, potem cię znowu zbudzą na te festyny męczeńskie, a ty i tak już wszystką wyczerpałaś siłę.

Kätchen chwilę pomyślała.

— Król młody—rzekła—postąpił sobie bardzo rozumnie. Kazał odpoczywać, nie rozpoczynał nawet rozmowy, aby cię nie męczyć, siedział na straży. Trzeba go słuchać.

— On mnie kocha? nieprawdaz?—zawołała królowa—on mnie kocha tak jak ja jego?

— Kocha, kocha, dziecko moje—potwierdziła piastunka—ale miłość się musi ośmielać i objawiać powoli, to prawo rycerskie! Daje ci czas, abyś się z nim oswoiła, przywykła, spoufaliła.

Elżbieta słuchała. Znała tak dobrze starą swą ochmistrzynię, że ją zaczęła posadzać o trochę przesady, o chęć pocieszania tylko.

— I miłość zawsze z początku jest tak zimna?—zapytała królowa.

— Śpij, moja królowo, śpij, nabierz sił, abyś jutro miała rumieńce—przerwała Kätchen.—Nie trwoż się, nie myśl o niczem, wszystko będzie pomyślnem, pójdzie szczęśliwie, bo niema człowieka na ziemi, coby na tobie, skarbie mój drogi, nie poznał się, nie ocenił cię, nie pokochał.

Pochyliła się nad nią, znowu ręce jej całować za-

częła, znowu otuliła pościelą, ale zaledwie przymrużywszy oczy, Elżbieta porwała się niespokojna.

— Kätchen, ja bo spać nie mogę, jabym tyle, tyle ci miała do powiedzenia, ale ty... ty...

— Czyż na to nie będziemy mieli czasu jutro? później? — nalegała Kätchen. — Tyś powinna zasnąć, aby mieć rumieniec na jutro! Stary król będzie się trwożył bledością twoją, a młody niepokoił.

— A barwiczka? — odparła Elżbieta — od czegoż ona?

— Ona nie zastąpi ci rumieńca — rzekła Kätchen — patrz na pożyczany rumieniec starej królowej, któż w niego uwierzy?

Posłuszna młoda pani przyłożyła głowę do poduszki, ale oczy się je zamknąć nie mogły, patrzała na piastunkę siedzącą u łóżka na straży. Usta się mimowolnie poruszać zaczęły.

— Miałam wczoraj cały gotowy w głowie obrazek tego pierwszego spotkania — rzekła — jak to nigdy, nigdy nic odgadnąć niepodobna!

Chciałam całe moje życie, całe dzieciństwo mu opisać, opowiedzieć, miałam mówić o matce, o tobie, o ojeu, o siostrach, o naszych zabawach, o tem jak cesarz mnie na kolanach posadził, jak bawiliśmy się w ogrodzie, jak jego obrazek pierwszy i drugi chowałam i przypatrywałam mu się, jakem go tu zaraz poznała, tylko mi się wydał piękniejszym nierównie od malowanego!

Ja proszę cię, Kätchen, ani słowa nie mogłam powiedzieć... nie, nie. Patrzyliśmy na siebie zdaleka, milczeli aż do rana.

Hölzelinowna zagryzła usta.

— Królowo moja, usnij proszę — nalegała.

Elżbieta uśmiechając się zamknęła oczy. Ówieré godziny może trwało milczenie, zdawała się usypiać. Kätchen już na palcach oddalić się chciała, gdy przy-

mrużone powieki nagle otwały się szeroko, i jedna ręka królowej za suknię chwyciła piastunkę.

— Kätchen! powiedz mi! czy on mnie kocha? Dlaczegooby on nie miał kochać, kiedy ja tak w nim jestem rozmiłowana? Dlaczego on był tak strasznie zimny, tak okrutnie milczący, tak nielitościwie nieczuły?

— A! królowo moja! zamiast usnąć, ty się dręczysz — schylając się nad nią zawołała Hölzelinowna.

Elżbieta porwała się i usiadła.

— Gdyby mnie nie kochał — rzekła — naówczas... naówczas co ja pocznę?

Uściskiem zamknęła jej usta Hölzelinowna i siadła przy łóżku.

— Gdyby cię nie kochał, byłby chyba ślepym i bezrozumnym! — zawołała. — Ale miłość, dziecko moje, nie przychodzi nigdy gwałtownie. Jeżeli on jest zimny, ty masz prawo przymilać mu się i poruszać jego serce. Jeżeli on jest nieśmiały, ty bądź odważną.

Podumała chwilę piastunka czy jej odrazu wszystko odkryć mogła.

— Nie zrozumiesz tego — dodała cicho a poważnie, że matki bywają o synów zazdrośne. Zdaje mi się, że właśnie taką jest Bona, której się może zdaje, iż miłość syna dla ciebie coś serca jego dla niej odbierze.

— Bona? królowa matka? — szepnęła Elżbieta. — A! jak ja się jej lękam! jaka straszna kobieta. Zdaleka gdy spotkam jej oczy, zdaje mi się że pożrećby mnie chciała.

Ona mi słówka jednego nie powiedziała, aby ośmielić i pociągnąć ku sobie. A ja ją będę musiała nazywać matką!

Załamano ręce Elżbieta.

— A! tak! tak! tyś doskonale odgadła wszystko — poczęła żywo — temu winna ta królowa straszna, o której jeszcze w Pradze słyszeliśmy, że ona tu rządzi wszystkim i królem samym.

Zygmunt taki dobry dla mnie. Lecz czyż starej tej

Włoszki niczem rozbroić, przebłagać nie można? Byłabym tak pokorną, tak posłuszną, byleby mi Augusta kochać i jemu mnie pozwoliła.

Käthen uśmiechnęła się.

— Przymilać się starej królowej—odezwała się—byłoby na próżno. Zachowaj się poważnie i nie okazuj tylko bojaźni. Masz za sobą powagę ojca, opiekę cesarza, których ona potrzebuje obu, nie waży się nic począć przeciwko tobie.

Nie trwoż się tylko i nie okazuj po sobie, gdybyś nawet cierpieć miała. Wszyscy tu oczy mają zwrócone na ciebie, i wszystkie serca już pozyskałaś sobie. Stary Zygmunt żył na na powiekach, gdy patrzy na ciebie, Tarnowska i jej siostra z uwielbieniem mówią o tobie, cały dwór unosi się nad twą pięknnością i łagodnością. Bona nie dokaże przeciwko tobie nic i ludzie więcej tylko niż dotąd będą ją nienawidzili.

Zamysłona słuchała młoda pani.

— Bona rzekła pocichu — wiesz ty o tem — gdy wszyscy podarki przynosili, ona jedna nie dała mi nic, nic... Gdy przysłała kolej na nią, czekano... widziałam na twarzy starego króla podziwienie i gniew, ale nie okazałam nawet żem to zrozumiała.

A! Boże mój—dodała—czyż ja potrzebuję tych darów, tych bogactw, bylebym miała jego serce. Oddałabym Bonie co mam, niech tylko kochać się nam nie przeszkadza.

Dzień już był biały. Na zamku ruch w początku słaby, stawał się żywszym z każdą chwilą. Na podworcach zamkowych, pomimo przejmującego chłodu, gotowano plac do turniejów, wysypując go piaskiem, bijąc koły, okrążając go łańcuchami i sznurami.

Do starego króla poczęli się zjeżdżać senatorowie dla odprawienia co pilniejszym było, nimby się rozpoczęły zabawy, igrzyska i przyjmowanie cudzoziemskich gości.

Król Zygmunt po stoczonym wczoraj boju z żoną

spocząwszy mało co, wstał znużony, spodziewając się przy pierwszej zrzeczności nowego wybuchu. Nic go tak nie dręczyło, jak te starcia krzykliwe, gwałtowne, które godności jego uwłaczały.

Postanowił też unikać spotkania z żoną.

Zwykle dowiadywała się ona o zdrowie męża gdy wstawał. Dnia tego nie spodziewał się jej Zygmunt, gdy drzwi się otworzyły, Bona weszła z twarzą pofałdowaną, zmęczona, dumna, ale na oko spokojna. Za nią kroczył tuż Catignani, co zapobiegało kłótni. Król odetchnął swobodniej.

— Daj mi siły jeśli możesz—rzekł do Włocha — Widzisz że ich potrzebuję. Człowiek zarówno, niestety, potrzebuje ich do zniesienia boleści i do podolania szczęściu. Mnie już i zabawa cięży.

Catignani wybuchnął narzekaniem na chłód majowy, naówczas gdy we Florencyi od skwaru już nie było można wytrzymać w mieście. Narzekał na kraj tak nieszczęśliwy, w którym przez ośm miesięcy najmniej marznąć było potrzeba.

Król odezwał się półgłosem.

— Signor Nicolo, błogosławić trzeba może chłód ten, jeżeli on nie dopuści szerzyć się morowemu powietrzu, o którym już słyhać, a upały je zwiększają.

Catignani zbłądł i przeżegnał się.

— Bóg nas od niego uchowa—szepnął.

Królowa stała milcząca, zagryzła usta, rzuciła kilka pytań i razem z doktorem wkrótce zabrała się do wyjścia.

Król odetchnął swobodniej; na resztę dnia mógł być spokojnym i zapewnionym, że burza nie nadejdzie. Jak poprzedzające, dzień ten cały upłynął na zabawach, które w owych czasach zwykły były towarzyszyć każdej większej uroczystości.

W podworcu zamkowym urządzono turnieje, chociaż przeraźliwy chłód, który zimę przypominał, postro-

jonym rycerzom i giermkom, paniom przypatrującym się z galeryi, dokuczał mocno.

Królowa Bona pokazywała się mało; chciano wyczytać z jej twarzy co czuła i zamierzała, lecz po gwałtownym wybuchu trzymała się na wodzy. Gamrat i inni zaklinali ją, aby przy obcych nie objawiała tak jawnie niechęci dla synowej, o której natychmiast donieść miało do Wiednia i Pragi. Zdaje się usłuchała tej rady.

Nie była wprawdzie uprzejmiejszą dla Elżbiety, ale w ciągu turniejów i następującej po nich uczty, rozdawania nagród i tańców, nie okazała po sobie co miała w duszy i obracała się do otaczających rozpoczynając rozmowę.

Stary król przyglądał się żonie i dosyć rad był zmianie. Pochlebiał sobie, że na tem wojna się skończyć miała, a synowa swą dobrocią prześlagała Włoszkę.

Wieczorem Bona, nie mieszając się do niczego na pozór, potrafiła tak ułożyć wszystko, iż August nie zajął nawet do małżonki, powiedziawszy jej sucho i zimno przy odprowadzaniu do sypialni, że powinna spocząć i snem się pokrzepić.

Sam on z pewną ostentacją od żony powrócił do matki i u niej pozostał tak długo, do tak późnej godziny, iż go nie widziano gdy wyszedł.

Mało kto wiedział o tem, że przez pokoje królowej matki przejście było niepostrzeżone aż do mieszkania Dzemmy, do której August mógł się przesliznąć pod opieką Bony, nie zwracając na to oczów. Pomiędzy kobietami tajemnica ta ukryć się nie mogła.

Dzemma z wesołą, zwycięzką twarzą, z ustami uśmiechniętymi przesuwiała się znowu pomiędzy towarzyszkami, które jej okazywały uszanowanie.

Król Zygmunt przed którym utaić nie było można, że młody król zaniedbał swą żonę, zmarszczył się, podumał, nazajutrz czulszym jeszcze okazał się dla synowej, ale ani Bonie, ani Augustowi nie powiedział nic.

Tylko w miarę jak Elżbiecie starano się zatruć pierwsze chwile pożycia z mężem, on coraz o nią był troskliwszym.

W parę dni potem stosunki trwały jeszcze niezmiennie.

A Elżbieta? zkaż słaba ta istota, której siły powinny się być wyczerpać po takiej próbie strasznej, brała je na dalszą walkę, jak ona mogła z wesołem prawie obliczem występować publicznie, uśmiechać się, tańcować, udawać, że nie słyszy i nie widzi, coby ją obrażać mogło? jak to dziecię potrafiło na chwilę nie okazując słabości, wahania się, podołać ciężkim obowiązkom tych uroczystości, to wytłómaczyć trudno.

Być może, iż sama duma i uczucie ucisku dawało jej tę moc duszy, być może iż rozumna Hölzelinowna dała jej wskazówki, że naostatek miłość dla Augusta natłęła ją do wytrwania z twarzą pogodną.

Bona, która w początkach była pewną, iż tę biedną istotę, osamotnioną tu, osieroconą, bez porady łatwo znęka i zwycięży, nie mogła się wydziwić—burzyła się mocniej jeszcze na widok uśmiechów i pogodnych wejrzeń swej ofiary.

Przechodziło to jej pojęcie.

Zygmunt August też może innego skutku się spodziewał swej oziębłości dla żony. Elżbieta wcale mu nie okazywała gniewu, witała go zrana uśmiechem i grzecznym słowem, wesoło, bez urazy zęgała go wieczorem. W ciągu dnia nie dostrzegał najbliższej chmurki na jej twarzy.

Dwór podzielony na dwa obozy, mniej więcej wtajemniczony w rozpoczętą walkę, patrzył na to widowisko z najżywszem, można powiedzieć gorączkowym zajęciem.

Co było szlachetniejszego stało naturalnie po stronie ofiary, obudzającej współczucie, politowanie, a umiejającej z taką godnością znosić cierpliwie prześladowanie niegodne.

Najmniejsza oznaka nie uchodziła oczu ludzi; patrzano na Bonę i Elżbietę, jak na dwóch zapaśników w arenie, staczających bój z sobą.

Dotąd stronnictwo królowej starej wcale się nie miało czem cieszyć, zadawało razy dotkliwe, ale nieprzyjaciela zbroja nawet nie póniosła szwanku. Gamrat, Kmita, Opaliński, Bona wreszcie zzymali się, burzyli nie dokazawszy w istocie nic.

Co gorzej, pochwały Elżbiety będące w ustach wszystkich tak ze wszech miar były usprawiedliwione, iż nawet nieprzyjaciele potakiwać im musieli.

Z zamku wieści o tem co się na nim działo, przechodziły na miasto, w którym tak dobrze jak na Wawelu miał swoich Zygmunt, miała i Bona.

Oprócz tego dalej od pola walki tłum stał neutralny, sądzący bez uprzedzenia. Tu w ogóle też wszyscy brali w obronę króla, Elżbietę, a sarkali głośno na Bonę, na Włochów i Gamrata.

Wyraz ten publicznego sądu dochodząc do Bony, raził ją. Obóz więc królowej nie mógł pokryć tego, że się mu nie po myśli działo.

Arcybiskup Gamrat przypisywał niepowodzenie temu, iż królowa stara zbyt jawnie okazała swą niechęć i wypowiedziała wojnę, gdy do niej słusznych przyczyn nie miała, żadnej wymówki.

Pomiędzy królową a jej doradcą powstały spory, w obozie Bony wszyscy czynili sobie i drugim wyrzuty.

Włoszka w końcu wyłajawszy Opalińskiego, spojrzawszy groźnie na Gamrata, krótko, nie tłumacząc się zapowiedziała, że wszystko to naprawi sama, że niczyjego rozumu nie potrzebuje.

Oczekiwano więc ciekawie tej naprawy.

Z królem nie wznowiły się kłótnie. Parę razy tylko Bona z przekazem się wyraziła o posagu synowej, którego ani grosza nie spłacono, a trzecią część jego dopiero obiecywano na przyszłe Boże Narodzenie.

Zygmunt w parę dni potem zdziwił się mocno, gdy Bona mu zrana zapowiedziała, że chce gości, synową z synem i jego przyjąć u siebie wieczorem i gotuje im *collazione*.

Staremu się twarz rozjaśniła, a że chciwym był spokoju, upatrzył w tem oznakę jego i nawrócenia Bony. Przez cały dzień się tem radował, a ktokolwiek do niego przystąpił, pytał go czy jest zaproszony przez królowę, lub oznajmował, że wieczorem młodzi królestwo u niej będą wraz z gośćmi.

W kołach Bony wiadomość ta sprawiła podziwienie. Zdania były podzielone. Gamrat wielce ten krok pochwalał, nazywając go dobrą polityką, inni naganiali, bo dawał napozór zwycięstwo nieprzyjaciółom.

Bona wcale się o te sądy nie troszczyła. Wydała rozkazy na na wieczorne przyjęcie, które nie różniło się od zwykłych podobnych, na jakie czasem zapraszała.

Dumna a skąpa, chcąc się okazać możną a nie rada do ofiar, Bona umiała połączyć u siebie pewien rodzaj przepychu z oszczędnością. Tak samo gotowano ową *collazione* na sposób włoski, przy której miały wystąpić srebra, naczynia, tuwalnie, szkła i przybory bardzo piękne, ale jadła i napoje bywały zawsze i teraz być miały oszczędnie, skapo i nieobficie roznoszone.

Króla starego w krzesle przeniesiono na pokoje żony, gdzie i młode małżeństwo się znajdowało. Wszyscy się nie mogli odchwalić postawy godnej, spokojnej, szlachetnej Elżbiety, która nie okazywała po sobie ani zbyttniego upokorzenia, ani przesadzonej dumy, ani nade-wszystko żeby się czuła dotkniętą czemkolwiekby.

Była tak spokojną i naiwną, jakby się tu znajdowała najszcześliwszą.

Zygmunt August, który z ciekawością sledził każdy ruch i wyraz żony, musiał też być zdumionym, choć nie dawał tego znać po sobie. Pewien rodzaj niepokoju chwilami dawał się postrzegać na jego twarzy.

Bona dotąd tak prawie jak nie mówiła i nie zbliżała się do synowej. W gościnie u siebie przyjęła ją tak samo zimno, a na pokorny pokłon odpowiedziała zaledwie skinieniem.

Jakież było miłe zdumienie króla Zygmunta, gdy przed pójściem do stołu, choć może w sposób niezbyt czuły i grzeczny, Bona zbliżyła się do Elżbiety niosąc w rękę alsbant (naszyjnik) z przepysznych kamieni, i klejnotem zawieszonym przy nim, i kilka niezrozumiałych słów rzuciwszy jej do ucha, włożyła go na szyję Elżbiecie.

Stary król czule spojrzał na żonę — Bona tryumfowała.

Wprawdzie spóźniła się z podarkiem, ale ten nie tylko wyrównywał innym, lecz może stosunkową wartość i pięknoscią je przechodził. Posłowie cesarscy i króla nie mogli zarzucić Bonie okazania niechęci.

Dopełniwszy tego Bona, była zmuszoną udawać wesołą, mówiła wiele, uprzejmą okazywała się dla gości. Sama niektórym przynosiła kubki słodkiego wina.

Hetmanowa Tarnowska, która należała do liczby zaproszonych gości, dostała też jakiś napój z rąk Bony, i szepnęła siostrze w ucho:

— Miałaby Włoszka wszystkich nas tu struć przez zemstę?

Pół zartem to powiedziała, ale nie jej jednej na myśl przyszła trucizna, tak naówczas już sądzono Bonę.

Przy wieczerzy, która składała się z owoców, słodczy, ciastek i win, wystąpił Monti ze śpiewem, dwóch cytarzystów z muzyką — ale nie wielką to wesołość obudziło.

Zmagano się na nią, nie mogąc przyjść do istotnego rozweselenia. Oczy wszystkich zwracała umyślnie po za młodą królową postawioną przez Bonę, strojna przepysznie, jaśniejąca pięknoscią nadzwyczajną Dżemma.

Nie było tajemnicą, że król młody się w niej ko-

chał. Mimowolnie porównywano tę Juno wspaniałą ze sliczną, ale słabiutką, delikatną królową, której lice blade jakieś wewnętrzne zdradzało cierpienie. Stary król jeden może ani jej nie spostrzegł, ani wiedział dlaczego ją tu postaviono.

Dżemma była strojna, tak że wśród fraucymeru, dosyć jednostajnie ubranego, nawet suknią i klejnotami zwracała na siebie oczy.

Na szyi jej błyszczący alsbant jakby naumyślnie włożony, miał takie podobieństwo do tego, który Bona dała Elżbiecie, iż w ich zbliżeniu myśli jakiejs dorozumieć się było można.

Zygmunt August dostrzegł to pierwszy może, drgnął, zarumienił się i oczy spuścił, jakby go to niemile dotknęło.

Elżbieta nie widząc stojącej za sobą, nie domyślała się niczego.

Gdy nadeszła godzina, w której goście się rozejść mieli, oznaczona tem, iż stary król kazał się odnieść do swej sypialni, goście królowej byli pozornie wszyscy rozgrzani, rozochoceni, uśmiechający, ale każdy z nich wyniósł jakieś przykre uczucie z tego wieczoru, który się wydał długim, a zostawił po sobie uczucie niepokoju.

Jak innych dni poprzedzających, August powrócił do matki i pozostał do późna.

Nikt nie wiedział co się z nim stało.

W sypialni królowa młoda siedziała sama ze swą powiernicą i piastunką Kätchen Hölzelin i obie pocichu szeptały.

Lampka paliła się przez noc całą, można się było każdej chwili młodego króla spodziewać, lecz jak poprzedzających dni, tak tego, August się nie pokazał u żony.

Zrozpaczona ochmistrzyni potrzebowała całej mocy wypróbowanego charakteru, aby sama nie upadła i powierzanej sobie młodej pani nie dała rozplynać się we łzach.

Bezsenne noce upływały na naukach, na pocieszeniu, na rozmowach.

Hölzelinowna przewidując i obawiając się najgorszych następstw tej walki niegodziwej nie mogła już nic taić przed Elżbietą, musiała ją uzbroić tak, aby na wypadek wszelki sama sobie poradzić mogła. Nie czas było ludzi się, uwodzić i pocieszać kłamstwami.

Mając do czynienia z dzieckiem prawie, nieprzygotowanym do pojęcia wszystkich życia obrzydliwości i niegodziwości, Hölzelinowna była w najtrudniejszym w świecie położeniu.

Potrzeba było nagle przed istotą nieświadomą, niewinną odsłonić niewidziane dotąd przepaście, natchnąć ją męztwem.

Samo wychowanie bogobojne, ciche, domowe czyniło przeszłość tak z teraźniejszością niezgodną, jak gdyby nowy świat oczom królowej się odkrywał.

W dzieciństwie jej wszystko wydawało się miłością, szlachetnością, wszystko czystem i jasnem; tu, na dworze męża, w matce jego trzeba było ukazać potwora, w ojcu bezsilną ofiarę, w mężu słabą istotę, powodującą się despotyzmowi czy czarom matki.

Czary w owym wieku tłómaczące wszystko co było niezrozumiałem, służyły jako postrach — posługiwano się niemi wszędzie.

Przypisywano więc otwarcie tę władzę jaką Bona miała nad synem czarom, mówiono o tem powszechnie. Starą Włoszkę równie skłonni byli wszyscy uznawać czarownicą, jak trucicielką.

A cały czar, jakim Bona nad synem uzyskała przewagę, było jej uleganie wszystkim zachciankom młodzika, fantazyom dorastającego.

Król trzymał syna surowo dosyć, nie folgował mu. Karcił często, nie chciał go widzieć rozrzutnym, pamiętając na marnotrawstwo Aleksandra, Olbrachta i dziada Jagiełły.

Bona jakkolwiek skąpa, gdy szło o pozyskanie syna, nie żałowała nic, zasilała go pieniędzmi obficie, obсыpywała podarunkami, a naostatek, widząc do miłości skłonny, ułatwiała mu je z rodzajem lekceważenia, które nie było w polskim obyczaju.

Cały fraucymer Bony był jakby haremem młodego pana. Zapobiegano skandalom przez ożenienia, zamknięto usta podarkami, wysyłano do Włoch, wydawano za mąż w oddalone strony.

Dzemma nie była pierwszą, chociaż przywiązanie do niej przechodziło wszystkie dawne miłostki. Inne dziewczęta były płochemi, ta kochała nie króla ale Augusta i przywiała się do niego namiętnie. Lecz Bona nie wierzyła w to, ażeby miłość ta mogła później stanąć na zawadzie, stać się ciężarem, rachowała na płochość niewieścią.

W końcu maja, gdy się to wszystko działo, goście obcy powoli się rozjeżdżać zaczęli, zamek powracał do trybu życia zwykłego, ale królowa młoda jak była tak pozostała samą.

Nic się nie zmieniało, stosunki tylko naprężyły, a każdy czuł, iż pozostać nie mogą takimi jak się ułożyły ostatecznie.

Niepodobieństwem było, aby August ożeniony nie żył z żoną, aby jawnie powrócił do kochanki, aby królowa odosobniona, coraz nieprzyjaźniejszymi otoczona i obcami sługami, skazaną była na rodzaj niewoli. Jadała nawet zwykle sama z Hölzelinowną, która przez poszanowanie usiąść nie śmiejąc, posługiwała swej pani. Król młody pokazywał się u niej bardzo rzadko. Z królową Boną spotykały się też nie codzień i na krótko, a staremu królowi nawet umiano przeszkadzać i przystęp do synowej utrudniać.

Cudowną siłę okazywała Elżbieta wśród tego powolnego męczeństwa, chodząc z pogodną twarzą, spokojna, jak gdyby nigdy, na chwilę, nie zwątpiła o swej przy-

szości. Małżonkowi nie okazywała najmniejszego żalu, uśmiechała mu się, witała go przyjaźnie.

Hölzelinowa obawiała się wielce, aby wzruszenia, jakich doznała Elżbieta, nie wywoływały powtórzeń tych napadów choroby, którą starano się ukrywać przed wszystkimi.

Dziwną sprawą natury, zmuszona do walki Elżbieta, zdobywała się na taką siłę, iż nawet chorobie, której podlegała zwykle, opierać się mogła.

O tych napadach omdleń długich Bona była zawia-domioną, rachowała na nie, aby one syna zraziły od żony; tymczasem nawet najsilniej podrażniona Elżbieta znosiła wszystko.

Tajemnicą siły tej była miłość dla męża.

Pocziwa Kätchen, choć sama może nie wierzyła w to, wmawiała swej wychowance, iż cierpliwością spokojną zmoże nieprzyjaciół, a męża ku sobie nawróci i pozyszcze.

Powtarzała jej to codziennie.

— Nie zrażaj się, on ma serce dobre, wszyscy mu przyznają; matka go psuje, ale prędzej czy później uczuje błąd, pokocha cię i będzie się go starał naprawić.

Elżbieta tę słodką nadzieję przyjęła—było to jedyną jej pociechą.

— Kätchen—mówiła do niej wieczorem?—wiesz? on dziś trzy razy spojrzął na mnie ukradkiem, gdy Bona tego widzieć nie mogła. Uśmiechnął się nieznacznie. Gdyśmy stali razem w loggij, upadł mi wachlarz... zamiast go kazać podnieść paziowi, schylił się, wziął go i sam mi oddał. Stara rzuciła na nas okiem bazyliuszka, a ja wachlarz ten pocałowałam. Nie unika teraz tak odemnie. Parę razy pocichu zamieniliśmy słów kilka. A! Kätchen! jaki on ma głos miły, jak słodko w jego ustach brzmi mowa nasza. On i stary król wcale dobrze mówią po niemiecku, ale Bona języka tego nie rozumie i boi się go, więc przy niej odzywać się boją. Gotowa posądzić, że coś się

przeciwko niej knuje, tak jak ona ciągle coś przeciw mnie snuje i wymyśla.

A w kilka dni potem, rzucając się na szyję piastunce zwiastowała jej Elżbieta, że August, gdy byli sami, pytał się jej o rodzeństwo, że mogła mu odpowiedzieć o matce, o siostrach, o swem życiu, o tem co jej było upodobanem.

— Ale wtem Włoszka nadeszła—dodała — i rozmowa przerwać się musiała.

Na dwór swój, z wyjątkiem Opalińskiego, nie mogła się skarżyć młoda pani. Jeden on, sługa gorliwy Bony, pilno przestrzegał, aby była jak najbardziej odosobnioną.

Hölzelinowa spostrzegła, że i jej listy i te które Elżbieta do rodziców pisywała, wszystkie przechodziły przez ręce Opalińskiego, a zatem pewnie przesuwaly się przed oczyma Bony i mogły albo ginać lub zdradzać.

Potrzeba więc było znaleźć jakąś drogę, którąby zwierzenia się poufne, opis wierny tego co się tu działo, mogły dojść do rodziców i cesarza. Hölzelinowa we dworze nie wierzyła nikomu, ale pod pozorem pokupek dla siebie, wykradła się na miasto, starając znaleźć kogoś z kupeców, któryby w Wiedniu i Pradze miał stosunki.

Nie potrzebowała szukać długo, domysłny bardzo, a oddany cały młodej pani Seweryn Boner, sam się jej nastroczył. Wiedziała, że jemu zaufać mogła, bo wierne stał przy starym królu.

Do niego się więc udała. Podskarbi przyrzekł listy przysyłać i zareczył za ich całość, ale trzeba było jeszcze przeciwnika niepodejrzanego, któryby przenoszenie tajemne ułatwiał.

Boner wahał się długo, nie znalazł nikogo lepszego nad Dudycza, który miał w tem własny interes, aby pomódz młodej królowej.

Dudycz niepozorny, nieposadzany, powszechnie za prostaczka uważany, nadawał się do tego doskonale.

Na wezwanie Bonera odpowiedział gotowością do usługi.

— Jeżeli ty młodej pani wiernie pomożesz—rzekł Boner—możesz się tego spodziewać, że my ci do tej Włoszki pomożemy, która nam już kością siedzi w gardle.

Petrek uśmiechnął się i pokłonił. Położył rękę na piersiach.

— W. miłość możesz na mnie polegać—rzekł—nikogo nigdy nie zdradziłem. Dobrowolnie się podejmuję, wiem co czynię. Ale miłościwy panie! miłościwy panie, za usługę tę pamiętajcie o mnie. Ja Włoszkę zaślubić muszę!

Boner śmiał się,

— Nieszczęśliwy człecze — rzekł — ja ci pewnie nie przeszkodzę! Bierz ją! a wywieź jak najdalej, aby młody król za nią nie szalał!

Stała tak ugoda i Dudycz został Hölzelinownie wskazany.

Drugi już miesiąc upływał od przybycia królowej Elżbiety do Krakowa, czerwiec się miał ku końcowi.

Ruch i życie jakie tu panowały, przez dni kilkanaście ustały, wracał zwykły tryb i porządek, cisza, pod której płaszczem wikały się intrygi, toczyła się walka gorączkowo, ale ostrożnie prowadzona przez królową Bonę.

Włoszka na chwilę w niej nie spoczywała, ale się jej zdawało, że potrafi omamić wszystkich, udając spokojną, napozór niemal beczynną.

Tymczasem widoczne skutki jej zabiegów wskazywały, że nie próżnowała. Jawnie starała się ona na stronie, lecz młoda królowa coraz bardziej odosobniona, opuszczona, ściśnięta, dozorowana, czasem tygodniami całami nie widując męża, cierpliwie znosząca prześladowanie, obudzała we wszystkich politowanie.

Skarga nigdy się z jej ust nie wyrwała, a łyzy przychodziły w nocy, gdy była sama z Hölzelinową i nikt jej ani posłyszeć, ani widzieć nie mógł.

Kätschen dodawała pani swej siły i mężstwa, ale i w samej królowej wyrobiła się energia, jakiej się po młodziuchnej i nie przygotowanej do takiego losu kobiecie spodziewać nie było można.

Raz postanowiwszy nie skarżyć się i znosić w milczeniu los, który się zmienić musiał, królowa, ile razy się ukazywać publicznie musiała, wychodziła z twarzą uśmiechniętą, której bladość tylko zdradzała wewnętrzne cierpienie.

Bona, która miała wiadomość o chorobie, jakiej podlegała Elżbieta, rachowała na ucisk, na rozdrażnienie, mające wywołać niechybnie, wedle doktorów, których się radziła, napad może publicznie, wśród jakiej uroczystości. Rachuby te ją zawiodły.

Najboleśniej ciosem, jaki zadać mogła synowej, było odciąganie od niej męża, trwające dotychczas. Zygmunt August dawał się Dżemmie trzymać przy sobie, a Bona miłości te ułatwiała. Ale i to nie zdawało się młodej królowej wycisnąć łez, zniechęcić i doprowadzić do rozpacz.

Piastunka jej powtarzała.

— Wytrwaj tylko cierpliwie, a zwyciężysz. August do ciebie powróci. Znajdą się nareszcie co staremu królowi o intrydze doniosą i Włoszkę potrafi oddalić od dworu.

Z pomocą Dudycza pisała Hölzelinowa ciągle do ojca i matki, donosząc bez ogródki żadnej, co się tu działo, skarżąc się na Bonę, wyświecając jej czynności.

Zygmunt Stary nie o wszystkim mógł być zawiadomiony. Chory i osłabiony nie znosił wiadomości, które drażniły, musiano go oszczędzać. Maciejowski i inni przyjaciele znajdowali, że nawet interwencja gwałtowna starego króla przeciw Bony knowaniom, nie wieleby po-

módz mogła, i oni więc woleli nalegać na ojca i na cesarza, aby użył jedyne go środka, jaki był obiecywał skutecznym, zagrożenia Bonie pomstą na królowej Izabelli i na posiadłościach neapolitańskich.

Lecz wystąpienie stanowcze ze strony ojca musiało być na czemś oparte, i trzeba było z umiarkowaniem poczynać, aby Elżbiety położenia nie pogorszyć.

W Wiedniu i Pradze mówiono sobie, iż król jest stary i niedługowieczny, a z jego panowaniem wszystko się odmienić musi. Zwlekano więc.

Ośmielało to Bonę, chociaż nie zdobywała się dotąd na środki gwałtowne. Szła powoli zawsze w ten sposób, aby się wycofać mogła.

Zygmunt August korzystał z tego, aby z rozkochaną Włoszką, jak ona niepomny jutra, spędzać dni na rozmowach i marzeniach. Oboje się upajali sobą. Dżemma nie zaglądała w przyszłość, lub wystawiała ją sobie fałszywie w barwach najświetniejszych. August też unikał myślenia o następstwach.

Bacne oko, pomimo jego rozkochania się we Włoszce, która umiała miłość tę rozżarzać i utrzymywać, możeby dojrzało czasem politowania nad Elżbietą, rodzącą się jakiegoś zajęcia jej losem.

Najobojętniejszy człowiek nawet nie mógłby się był oprzeć współczuciu, jakie ta ofiara, znosząca tak cierpliwie swe męczeństwo, wzbudzała. Zygmunt August serce miał dobre, lecz był namiętny, a namiętność czyni samolubnym i zaślepia.

Urzędowa miłość małżonki nie miała dla niego uroku tej zakazanej, kradzionej, a poetycznym wdziękiem jakimś przyodzianej. Nic tak nie wywołuje namiętności, jak przywiązanie, poświęcenie, miłość jednym słowem. Dżemma była szalenie rozkochaną. Powtarzała sto razy na dzień, że gdy ją August opuści, życie sobie odbierze.

Chociaż król młody nie okazywał najmniejszego

dla małżonki uczucia tak, aby ono zazdrość Włoszki obudzić mogło, Dżemma była szalenie zazdrosną o każdą życia jego godzinę spędzoną bez niej, podejrzynała, obrzucała wymówkami, płakała. Sceny te przykre kończyły się zawsze roznamietnieniem z obu stron większem jeszcze.

Bona, Opaliński, wszystkie kobiety dworu starej pani, stosunkom tym króla z Dżemłą starały się posilkować, zabezpieczać je i ukrywać.

Z młodą królową nawet ci, co z nią sympatyzowali nie byli w bliższych stosunkach, obawiali się jawnie jej dopomagać, bo na wszystko Bona miała bacne oko.

Dudycz jeden bardzo gorliwie służył Hölzelinownie, ale nikt go nie podejrzawał, tak dalece, że się wyśmiewać poczęto, posadzając o matrymonialne zamiary, chociaż Kätchen, nie piękna, miała lat przeszło czterdzieści.

Nosił listy, chodził z wiadomościami i skargami do Bonera, z radami od niego powracał.

Jednego dnia czerwcowego właśnie z pismem ukrytem za suknią kroczył najdziwaczniej ubrany pseudo-Włoch ku kamienicy Bonera, zboczywszy w Rynek dla jakiegoś sprawunku, gdy z kamienicy Montelupich, około której przechodził, usłyszał sykanie. Obejrzał się, bo nie było blisko nikogo, i domyślał się, że się ono do niego stosować mogło. W oknie domu stał ów, niemal już zapomniany, kupiec wenecki, którego poznał czasu wesela, dając mu znaki.

Dudycz przypomniawszy go sobie, zbliżył się, Włoch miał twarz nadto wyrazistą, aby ją zapomnieć lub omylić się można.

Pośpieszył do kamienicy i znajomego mieszkania, w którym odwiedzał był Wenetę. Stał on tu w progu grzecznie i uprzejmie witając dawnego znajomego.

Petrek znalazł go jakoś innym. Coś w nim było zmienionego, nie tylko w postawie i twarzy, która miała

wyraz poważniejszy i pewniejszy siebie, ale strój też, łańcuch na szyi, paradne ubranie czarne, mieczyk u boku, podobniejszym go czyniły do dworaka jakiegoś, do urzędnika, niż do prostego, choćby majątnego kupca.

Ta mała metamorfoza niezbyt jednak zdziwiła Dudycza, strój ten mogły wywołać okoliczności.

— Szczęściem to nazwać mogę — odezwać się kupiec, biorąc za rękę Petrika i do krzesła go prowadząc — że mi się spotkać z wami nadażyło. Potrzebowałem widzieć się z wami.

— Jestem na usługi wasze — odparł Dudycz.

— Tymczasem — mówił dalej Włoch — nic więcej od was nie potrzebuję nad to, ażebyście zapomnieli o tem, żeście mnie widzieli w Krakowie.

Dudycz się zdumiał nieco.

— Tak — dodał kupiec — potrzeba żebyście mnie nie znali, ani ja was. Tym razem przybywam tu do Krakowa nie jako kupiec, ale jako wysłany od cesarza i ojca królowej Elżbiety, spodziewając się, że mi tu przy młodym królu zostać pozwolą.

Dudycz milczał nie dobrze rozumiejąc, a kupiec uśmiechał się i mówił dalej.

— Wiem, że wy służyliście Hölzelinownie, a zatem trzymacie z nami. Nasza młoda pani jest tu bez opieki, otoczona obcemi, potrzeba, aby kogoś przy małżonku miała przyjaznego sobie. Mam zalecające listy, mógłbym królowi Augustowi służyć za tłumacza, za sekretarza. Językami władałam kilku.

Dudycz z wolna poczynął się domyślać celu poselstwa.

— Rozumiem — rzekł — i życzę powodzenia. Bardzo byście się tu przydali, ale do kogoż macie listy polecające?

Włochowi oczy wesoło się uśmiechały.

— Do wszystkich — odparł — do króla starego, do

młodego, do biskupa Samuela, do hetmana, do pana Bonera.

Do wszystkich — powtórzył — oprócz do królowej Bony, co do tej pisać było próżno.

Zamyślił się mocno Petrek.

— Życzę, aby wam się powiodło — odparł — ale nie wiem spełna, jak potraficie ciężkiego dokonać dzieła.

— Starać się będę — rzekł Włoch z pewnością jakąś. — Królowa stara Włoszka jest, ja też Włochem, jedną bronią walczyć z nią potrafię.

Dudycz milczał.

— Macie więc wiedzieć — dodał kupiec — iż na teraz kupcem już wcale nie jestem, ale posłem króla ojca i zowie się, do usług waszych, Giovanni Marsupin.

To mówiąc pokłonił się nisko.

— Przybyłem dzisiaj rano — mówił dalej po chwili — małom co miał czasu dotąd rozszluchać się i rozpałtrzyć. Cóż się u was dzieje?

Dudycz zagadnięty znalazł się w trudnem położeniu; na zapytania pojedyncze byłby łatwo znalazł odpowiedź, do takiego ogólnego odmalowania położenia nie czuł się na siłach. Wymownym nie był, a myśli błakały mu się zwykle samopas po głowie.

Odparł poruszeniem ramion i miną skwaszoną.

— Młodą królowę Bona widocznie postanowiła zamęczyć — odezwał się Marsupin. — Co ona zrobiła z tego małżeństwa! Prawdaż to, że król August nie jada nawet z małżonką, nie widuje się z nią po dni kilka... nie odwiedza. Mówią mi, że jej zbywa niemal na wygodach do życia. Zrobiono z niej niewolnicę! Ale co oni sobie myślą? że król pan mój i cesarz to zniosą, nie starając pomścić?

Milcząc słuchał Petrek, miał jedno na myśli, że jego własna sprawa mogła w Marsupinie pozyskać walnego sprzymierzeńca.

— Król młody ma kochankę — rzekł. — Widzieliście

ją! przypomnijcie sobie... Wszystko na tem, aby ją od niego oddalić!

— Wiem—odezwał się śmiejąc signor Morsupin—i to nawet, że wybyście się chętnie podjęli uwolnienia nas od niej.

Dudycz uśmiechnął się także.

— Ale kochanka ta... fraszka—dodał Włoch.

— Jakto? fraszka?—przerwał Petrek.

— Tak jest—mówił Marsupin—weźmiemy mu tę, Bona potrafi drugą dostarczyć. Piękna dziewczyna jest narzędziem. Musimy złamać Bonę i nie dać jej znęcać się nad Elżbietą groźbą odwetu na jej ukochanej Izabelli.

— Ale Włoszka — zawołał niespokojny o siebie Dudycz—wy ją lekceważycie, widzę.

— Bynajmniej!—mówił Marsupin — piękna jest, rozkochana lub dobrze udaje rozmiłowaną, wszystko to prawda, ale po za nią stoi Bona. Na nią uderzyć potrzeba.

Po chwili milczenia Dudycz, choć nie krasomówca, jaskając się wywód rozpoczął.

— Pewna rzecz, że na Bonę trzeba tak czy owak działać, ale, miły panie, choć wierzę w to, że będziecie mieć poparcie, choć sędzę, że wam nie zbędzie na zręczności, powiem tylko jedno. Król Zygmunt od lat wielu, dwudziestu kilku bodaj ożeniony, a jeszcześmy nie widzieli ani jednego przykładu, aby z Boną on czy ktośkolwiek inny walczyć wyszedł zwycięzko.

Marsupin słuchał zmarszczony.

— Tak mi źle wróżyście—szepnął—no, ale mężstwa nie tracę.

— A ja wam życzę powodzenia—dodał Dudycz—ale, wiecie co powiem. Ja przysięgnę, że gdy my tu rozmawiamy z sobą, a o was w mieście i na dworze nikt nie wie, ona już o przybyciu, o listach, o wszystkim jest zawiadomiona.

Na dworze cesarza ma swoich, ma ich w Pradze,

ma wszędzie... sypie gdzie potrzeba pieniędzmi, a ma ich więcej niż król i skarb koronny. Za te pieniądze kogo chce kupuje.

Marsupin położył mu rękę na ramieniu.

— Nie sędzę, ażeby na dworze polskiego króla wszyscy byli sprzedajni—rzekł—ani biskup Samuel, ani hetman, ani wielu innych kupić się nie dadzą jak Kmita, Gamrat i Opaliński. Bona dokuczyła już wam, jest znie-nawidzoną, panowanie jej się kończy.

— Daj Boże!—westchnął Dudycz.

Marsupin żywo począł po izbie się przechadzać. Petrkowi już na myśl wróciła jego nieszczęsna Włoszka.

— Szanowny panie—odezwał się—nie potrzebuję wam zaręczać, iż na usługi wasze jestem i będę. Że mi wierzy pan Boner i Hölzelinówna, najlepszym dowodem (tu dobył z za sukni list) oto to pismo, które niosę do podskarbiego. Rób pan co uznasz dobrem dla młodej królowej, ale nie zapominaj, że póki tu Włoszka jest, póty król młody od żony stronić będzie.

Marsupin śmiać się począł.

Poklepał go po ramieniu.

— Rozumiem—odparł—chociaż zaprawdę dziwnie się jakimi czarami ona was sobie pozyskać mogła, bo wielkiego z nią szczęścia spodziewać się wam trudno.

— To moja rzecz—zawołał Dudycz. — Ja jestem człowiek uparty jak muł, a uporem się wiele robi. Byłem Włoszkę miał, dam sobie z nią rady.

Wypłaczę się, wyzłości, a w końcu zgodzi się ze swym losem, który ja jej ozłocę.

Dudycz uderzył się po kalecie.

— Bylebym pomocy i opieki pewnym był, choćby wykraść ją gotów jestem.

— Jakże? i królowej Bony, którą mnie straszycie, nie boicie się—zawołał Marsupin.

— Nie tak bardzo, bo ona ma kilkanaście dziewcząt jeszcze na miejsce tej, którą wezmę.

— To prawda—potwierdził Włoch—ale gdyby tak było, nie wiele nam pomoże usunięcie jednej.

Poruszył ramionami.

— Lecz co tu o tem rozprawiać przedwcześnie — dodał—naprzód potrzeba bliżej poznać młodego króla.

Ja znam go tylko ze słuchu. Opowiadają, że ma zdolności wielkie, serce i charakter szlachetny, a słabość jego dla kobiet tłómaczy po części młodość, w części to, że matka nie tylko jej pobbązała, ale się starała w niej utrzymać, aby korzystać. Niepodobieństwem jest, aby młody król nie poznał się na tym skarbie, jaki mu daliśmy. Chwilowo jest upojony, lecz wytrzeźwić się musi.

Dudycz wstał nie mając już co dodać, a chcąc pośpieszyć do Bonera.

— Tak więc — żegnając się dorzucił Marsupin, który do drzwi odprowadzał—pamiętajcie, że się nie znamy, a razem że macie we mnie chętnego pomocnika w tem wszystkim, co interesowi młodej królowej służyć może.

— Mam o was powiedzieć panu Bonerowi? — zapytał Dudycz.

— Wie on już o mnie — odparł Marsupin—a jutro z listami idę... do młodego króla naprzód.

Petrek, któremu zjawienie się tego posła zdawało się dobrą dla niego wróżbą, wesoło pośpieszył do podskarbiego, tu krótko zabawiwszy, ponieważ nowe otrzymał zlecenie do Hölzelinowej, powrócił zaraz na zamek wypatrzył chwilę dogodną, i spełniając co mu Boner rozkazał, oznajmił razem o przybyciu Marsupina.

Niemka wprawdzie tego lub innego posła spodziewała się, lecz wiadomość o przybyciu uradowała ją wielce. Pobiegła z nią do młodej królowej, jako ze zwiastunką pomyślniejszego obrotu rzeczy.

Marsupin znanym był jej z wziętości jaką miał na dworze króla ojca, który się nim oddawna posługiwał

w sprawach, największej przebiegłości i wytrwałości wymagających.

Przebrany pod rozmaitemi postaciami, nieraz Włoch wędrował do Węgier, do Turcji, do Włoch, po rozmaitych dworach, to jako kupiec, to jako uczony, to jako cudzoziemiec ciekawy.

Gdy potrzeba było coś odkopać, wysledzić, wyspiegować, Marsupin nie miał sobie równego. Nadzwyczaj zręcznie robił znajomości, wciskał się, podsłuchiwał, zyskiwał ludzi, i nie było przykładu, aby go pochwycono.

Najczęściej dawano mu misye takie, które wcale na jaw nie wychodziły; terażniejsza tem się od poprzednich różniła, że Marsupin musiał oko w oko stawić się przed królową starą, przeciwko której miał walczyć, zarazem starając się wywiedzieć o wszystkim co się młodej królowej tyczyło.

Zuchwałem było nieco ze strony ojca królowej Elżbiety polecenie Marsupina na sekretarza i tłómacza Augustowi, gdy łatwo było Bonie przewidzieć w nim nieprzyjaciela.

Czy w istocie rachowano na to, że się go tu umieścić uda? nie wiadomo. Marsupin może sam nie bardzo w to wierzył, ale bądź co bądź zaklinał się, że go ztąd nie łatwo wypędzić potrafią.

Wiadomem było, że Zygmunt August kochał się w ludziach wykształconych, znających świat, mogących utrzymać rozmowę o tem, co w danej chwili zajmowało umysły. Marsupin właśnie miał wszystkie przymioty takiego dworaka umiejącego pana zabawić, zająć, rozerwać i dopomódz mu do obeznania się z tem co świat na zachodzie zaprzętało.

Znał signor Giovanni wszystkie dwory, wielu panujących, wielu uczonych, czytał nowości, mówił doskonale językami kilku, oprócz tego był niezrównanie giętki, zręczny i w potrzebie wymowny. Ani na energii ani na

chytróści mu nie zbywało. Naostatek przywiązanie jego do rodziny króla było wypróbowane.

Na dworze polskim wcale Marsupina nie znano, bo się tu nigdy nie pokazywał, ale Włosi Bonę otaczający wiedzieli o nim.

Gdy nazajutrz ubrany paradnie signor Giovanni Marsupin, oznajmił się Opalińskiemu jako przybywający z listami do młodego króla, ostrożny marszałek przyjął go nader grzecznie, lecz do pana przypuścić jakoś nie chciał i zażądał listów na swe ręce.

Marsupin z wielką uniżonością oświadczył, iż miał polecenie tylko do rąk własnych Augusta je oddać. Prosił o posłuchanie.

Marszałek, który podejrzewał coś Bonie nie miłego, pobiegnął do niej.

Królowa już była nie tylko zawiadomioną o przybyciu Włocha, ale wiedziała kto on był.

— O! szpiega tu na mnie przysłali — zawołała. — Ta niegodziwa Niemka (Hölzelin) nie wiem jakimi sposobami listy i doniesienia wysyła, opisała mnie w nich. Pomocnik dla niej przybywa. Moi ludzie go znają, najniebezpieczniejsza żmija. Okupić go nie można. Syna ja uprzedzę, posłuchanie odłóżcie do jutra, a bądź co bądź, trzeba mu życie uczynić tak gorzkim, aby się niegodziwiec wyniósł co prędzej. Ja go tu cierpieć nie będę. Za nic, za nic.

Nazajutrz więc dopiero Marsupin mógł listy oddać królowi Augustowi, który go przyjął, ostrzeżonym będąc, grzecznie, ale zimno.

Włoch rachował, że w dłuższej rozmowie przypodobać się, ująć sobie potrafi króla, lecz Opaliński czuwał nad tem i nie dopuścił mu się rozgadywać, przypominając pilne zajęcia.

Przeciw wszystkim tym zawadom Marsupin musiał odegrywać obojętną pewność siebie, jakby się nie poznawał na tem, iż się go pozbywano.

Oznajmił Augustowi, iż miał listy do młodej pani, dodając również, iż mu zlecono je oddać do rąk jej własnych i przekonać się o tem jak N. Pani wyglądała i czy zdrowie jej na zmianie życia nie ucierpiało.

Zygmunt August odpowiedział nieznaczną jakąś obietnicą.

Opaliński odprawił Marsupina co żywiej, zapowiadając, że postara mu się widzenie z Elżbietą ułatwić, a o dniu i godzinie doniesie.

Przyjazd Marsupina Bonę nieco poruszył, bo w nim widziała skutek doniesień, których się obawiała. Widocznie Włocha wysłano jako szpiega, aby się przekonał w miejscu o tem, co dochodziło do Wiednia i Pragi.

Tegoż dnia rozpoczęły się narady, biegali posłańce wszyscy doradcy i pomocnicy królowej zwołani zostali; a ponieważ wiele na starym Zygmuncie zależało, Bona postanowiła jego naprzód przygotować tak, aby Marsupinowi pozostać tu nie dał, za uwłaczający sobie pocztując ten nadzór nad młodą królową, który dowodził braku zaufania.

Chwila do działania na króla była dosyć dobrze wybraną. Zmęczony walką Zygmunt Stary znajdował się w tym stanie i usposobieniu, które pragnęło spokoju, łącznie się pozorami jego ludzi dawały.

Maciejowski i inni u boku króla będący, choć wiedzieli jak się obchodzono z młodą panią, ażeby nie martwić Zygmunta, nie wszystko przed nim mówili, ukrywali wiele.

Bona wstrzymała swe wybuchy, i udawała obojętną. Stary więc spodziewał się, że zwolna wszystko się ułoży najlepiej, bez uciekania się do ostatecznych środków, bez kłótni i wrzawy.

Gotów był nawet do małych ustępstw żonie, byle go nie zmuszała do gniewu. Elżbietę widywał ciągle uśmiechniętą, z wypogodzoną twarzą, nie skarżącą się na

nic... i łudził się, pochlebiał sobie, że syn przywiązać się do niej musi.

Przez parę tygodni Bona dawała królowi tak spo-
czywać, nie drażniąc go niczem—przychodziła dowiady-
wać się o zdrowie, mówić o swoich osobistych intere-
sach, nie napomykając wcale o synu i synowej. Zygmunt
ulegał łagodnie.

Wieczorem dnia tego gdy Marsupin miał posłu-
chanie u Augusta, postanowionem zostało, iż Bona kró-
la o nim uprzedzić musi.

Trochę wcześniej niż zwykle ukazała się w sypial-
ni, a z twarzy jej poznał małżonek, iż niesła coś z sobą,
że nie przyszła z próżnemi rękami. Po kilku słowach
obojętnych zasiadła naprzeciw męża.

— Zapewne ci już doniesiono — odezwała się —
o przybyciu tego osobliwego posłańca od ojca Elżbiety?

— Nie wiem o żadnym — rzekł król.

— Przysłano z Pragi Włocha — mówiła coraz się
ożywiając królowa. — Ma listy do Augusta, do was i jeśli
się nie mylę do wielu innych. Chcą go tu nam posadzić
jako dozorcę, jako szpiega. To rzecz dla ciebie obelżywa!
więc wiary w nas nie mają? Są więc ludzie, którzy im
donoszą, że Elżbiecie się dzieje krzywda?

Włoch chce się w jakikolwiek sposób wcisnąć tu
i pozostać. Polecają go za tłumacza i sekretarza Augu-
stowi, ale ani on, ani my nie potrzebujemy nikogo, ma-
my dosyć sług swoich.

— Włoch? któż jest ten Włoch? — odezwał się król.

— Nie znają go tu, ale ma sławę przewrotnego,
niebezpiecznego, zuchwałego człowieka.

Bona wstała z krzesła.

— Nie powinienes dopuścić, aby ci go narzucio-
no — zawołała.

Zygmunt milczał obojętny.

— Zobaczmy — rzekł — rozśluchamy się i rozpa-
trzymy.

— Włoch będzie pewno jutro lub wkrótce dobijał
się o posłuchanie — dodała Włoszka. — Jeżeli przyjmie-
cie, bo ks. Samuel pewnie go przyprowadzi, nie róbcież
mu nadziei, żeby tu mógł pozostać.

Królowa z początku dosyć spokojna, w miarę jak
mówiła, coraz się bardziej unosić zaczęła.

— Wiedziałam dobrze — rzekła — że biorąc tu
wnuczkę waszą, kupimy sobie podległość i niewolę, że
nam cesarz i król tchnąć nie dadzą bez swojego pozwole-
nia, dlatego się temu związkowi opierała.

Oto masz skutki! Listy potajemne biegają ciągle,
skargi, obwinienia, i król ojciec waży się nam na nasz
dwór wysłać dozorcę, który nad nami rozciągnie straż.
Poruszyła ramionami.

— Godności króla to uwłacza! — dodała.

— Uspokój się — odparł król — pomówię o tem
z moją radą, a ujmy sobie wyrządzić nie dam.

— Jeżeli przyjmiesz tego Marsupina — dodała Bo-
na — zaklinam, abyś się na słodkie jego słowa wziąć nie
dał, ani pokorą nie pozwolił omamić. Szpieg jest... zło-
czyńca.

Podniosła do góry pięść ściśniętą.

Zygmunt unikając burzy, postanowił nie odpowia-
dać, dał się Bonie wyburzyć, wygadać i odprawił ją nie
nie przyrzekłszy.

Lecz był już przygotowany.

Król nazajutrz spytał o posła przybywającego zra-
na biskupa Maciejowskiego, który nie przywiązując
umyślnie zbytnej wagi do zjawienia się go, odpowie-
dział królowi iż w istocie Włocha przysłano, lecz ten
szczególniej polecony był młodemu królowi, a królowej
przysłał listy, pozdrowienie i podarki od matki.

— Nie napierał się on dotąd o posłuchanie u mi-
łości waszej — dodał Maciejowski — lecz pewnie o nie pro-
sić będzie. Królowa jejmość zbytnią do tego posła przy-
wiązuje wagę i nadaje mu znaczenie.

Uspokoił się chętnie król stary, bo nadewszystko pokój był pożądanym.

Marsupin bardzo zręcznie w istocie zamiast napraszać się do Zygmunta, naglił na Opalińskiego, aby młodej królowej został przedstawiony, bo miał do niej listy i posłanie.

Sługa najwierniejszy Bony, Opaliński, znalazł się w położeniu bardzo trudnem, bo nie chciał zdradzić jak dalece tu wszystko od Bony zależało i było w jej rękach, nie życzył sobie, aby Włoch jasno widział stosunki. Tymczasem bez starej królowej wiedzy i pozwolenia nie mógł dopuścić Marsupina. Musiał się więc uciekać do tysiącznych wybiegów, królowa młoda była nieco znudzona, drugiego dnia nabożeństwo i posłuchania zająć ją miały i t. p.

Marsupin kłaniał się, czekał, ale dokuczał, bo przechodził po kilka razy na dzień i nużył marszałka upartem stanieniem, jakby nie rozumiał, że się go pozbywano.

Opaliński pobiegł do Bony.

— Za nic w świecie nie dam mu się z nią widzieć na osobności! — krzyknęła stara. — Trzeba go pilnować.

Po dość długiej i burzliwej naradzie postanowionem zostało, iż dwie królowe, stara z młodą nazajutrz zrana spotkać się mają i... o cudło! przechadzać razem po wirydarzyku, który był przez Bonę około zamku założony na wzór włoskich ogrodów.

Zajmował on przestrzeń niewielką, ale w nim pełno było kwiatów i wonnych roślin; ścieżki i małe labirynty, kilka kamiennych naczyń dla ozdoby, nawet wodotrysk urządzone przez jakiegoś Włocha dla królowej. Widok ztąd dosyć piękny zwabiał tu niekiedy młodą królowę.

Nie miło jej było spotkać się z Boną, która słowa się do niej nie odzywała zwykle, wybierano więc godziny takie, gdy stara pani zajęta była. Tego dnia Opaliński podjął się tak przechadzkę urządzać, zachęcić do niej,

aby dwie królowe spotkały się nim Marsupin na zamku się zjawi.

Opaliński rzeczy ułożonej zawczasem miał nadać pozór przypadku i zaprowadzić posła, a okazać mu, iż dwie królowe w najlepszej w świecie zgodzie obcowały z sobą, prawie się nie rozdzielając.

Jeżeli sądził, że Włocha tem oszuka, mylił się. Bonie tylko zdawać się mogło, iż tak niezręcznemi wybiegami uniewinnić się potrafi.

Ranek czerwcowy był prześliczny, chociaż po chłodach majowych gorąca nadeszły szybko i dnie już były skwarne. Na Wawel wiatr z dolin od rzeki przynosił powiew orzeźwiający.

Królowa Elżbieta wyszła zaledwie z Hölzelinowną swą do wirydarzyka, gdy w drugim końcu jego ukazała się Bona z dwoma karłami. Młoda pani cofnąć się chciała, lecz Opaliński przytomny podszeptał, że byłoby to za złe wziętem.

Powolnym więc krokiem nieśmiała młoda pani poczęła się przechadzać, nie odważając zbliżyć do Bony, gdy ta sama do niej podeszła. Pozdrowienie było milczące. Zamiast odezwać się do synowej, którą tylko wzrokiem trzymała przy sobie, Bona poczęła rozmawiać z Opalińskim.

Elżbieta z tym uśmiechem obowiązkowym, który z ust jej nie schodził, z gałązką lawendy w ręku stała milcząca. Niestrwożona dawała patrzeć na siebie i spoglądała spokojnie na Bonę, która tem żywszą wiodła rozmowę z marszałkiem, iż się co chwila Marsupina spodziewała.

Opaliński zawczasu tak ułożył wszystko, iż Włoch przybywszy miał tu być przez dworzanina przyprowadzonym.

Spełniło się wszystko jak było obrachowane.

Zdała ukazać się Marsupin.

Bona doskonale udała, że o nim nie wiedziała do-

tańd wcale i okazała nawet radość z jego przybycia. Mogło to uwieść patrzących z boku, ale nie Marsupina, który wiedział po jakim stapał gruncie.

Z niewymowną radością, której ukryć nie umiała, ujrzała go Elżbieta, przypomniawszy zaraz sobie.

Przynosił jej żywe wspomnienie rodziców, latszczeńliwych, był dowodem, że tam o niej nie zapomniano.

Postawa przebiegłego Włocha, który bił czołem przed starą królową i z pokorą się jej do kolan kłaniał, Bonę więcej przestraszyła niż uwiodła. Czuła w nim nieprzyjaciela.

Nie odstąpiła ani na chwilę od synowej i niebardzo się posłańcowi dała z nią rozmówić, sama natychmiast zwracając się ku temu, że w interesie córki Izabelli rada była Marsupinowi dać zlecenia.

— Spełnię je — odparł Włoch — chociażby listownie, gdyż na teraz, stosując się do rozkazów pana mojego, czas jakiś tu zatrzymać się będę musiał.

Bona zagryzła usta.

Marsupin odprawy zrozumieć nie chciał. Zwrócił się do Elżbiety, dając jej wiadomości o rodzeństwie, ojcu i wręczając listy, jakie miał do niej.

Królowa młoda przyjęła je z radością, lecz nie rozpieczętowując za suknię włożyła.

Pytaniom nie było końca, lecz przytomność uparta Bony zmuszała Elżbietę i Włocha do ograniczenia się ogólnikami... otwarcie się rozmówić nie było podobna. Marsupin tylko wejrzeniem, oczyma dawał do zrozumienia, iż więcej przynosi, niż w tej chwili oddać może.

Nie okazał ani niesmaku, ani zakłopotania — udawał wesołego tak dobrze jak Bona.

Po krótkiej rozmowie, gdy Marsupin przekonał się, iż sam na sam z Elżbietą tym razem pozostać nie będzie mógł, nie chcąc być natrętnym, zegnał obie królowe.

Nieco opodal stała, oczekując na swą panią Hölze-

linowna. Do tej starej znajomej zbliżyć się nikt nie mógł zabronić. Signor Giovanni bardzo zręcznie z tej sposobności skorzystał.

Doskonały komedyant umiał zdala wcale co inne go okazywać postawą, a co innego mówić ustami. Powitanie Kätchen mogło się Bonie wydawać niewinnem, a Marsupin pewien, że głosu jego nie dosłyszają, pośpieszył kłaniając się rzucić jej:

— Nie dano mi się nawet widzieć na osobności z królową. To najlepszy dowód, że na sumieniu się nie czują czyści. Na miły Bóg, musimy choć my, panno Katarzyno, spotkać się gdzieś, abym całą prawdę tę wiedział, której już kawałki pochwytałem.

Hölzelinowna tak była przestraszona, iż nierychło mu odpowiedziała:

— Obmyśl sam środki, ja nic nie potrafię, siedzimy otoczone strażami jak w niewoli.

— Królowa się uśmiecha — dodał Marsupin podwajając fałszywe ukłony — ale jakże jej z twarzy patrzy męczeństwo!

— Twarz nie kłamie! — westchnęła Hölzelinowna. — Na Boga — dodała — nie opuszczaj nas, zostań tu, jeżeli można, bądź świadkiem tego co się dzieje. Małżeństwo wcale z sobą nie żyje. Król młody ma kochankę czy kochanki. Ta nieszczęśliwa wzgardzona jest.

Marsupin obawiał się mówić więcej, pokłonił jeszcze i za murem zniknął, nim dwie królowe, które już się zbliżyły, nadeszły, bo stara chciała przeszkodzić podejrzanemu rozmowie.

Pierwsze te kroki Włocha wśród dworu dotąd mu prawie obcego, były ostrożne i baczne — pochlebiał sobie może, iż bez jawnego występowania przeciwko starej królowej potrafi się obejść.

Bona też w początku sądziła, że łatwo go ztąd wygna.

Obie rachuby zawiodły.

Marsupin dowiadując się coraz lepiej o stanie rzeczy, o pożyciu małżeńskim, a zabiegach królowej matki, przekonał się, że wystąpienie otwarte będzie nieuniknionem.

Większa część faktów biła w oczy, wszyscy o nich byli uwiadomieni. Wojna stała się nieuniknioną.

Po posłuchaniu w ogrodzie signor Giovanni na-przód zameldował się z poszanowaniem do starego króla. Boner lub Maciejowski mieli go tu wprowadzić.

Ale podskarbi przed posłuchaniem wziął do siebie Włocha.

— Przed królem starym nie występuj z zażaleniami—rzekł—nie wytaczaj sprawy. Na nic się to nie przyda. Zygmunt nasz zgryzie się, oburzy, a nie uczyni nic. Działać musisz w inny sposób. Nie taj się z tem, że król ojciec za córkę pomści się na królowej Izabelli. Jednym tym postrachem możesz Bonę zmiękczyć i zmusić do zmiany postępowania. Wy i my zresztą, wszyscy będziemy pracowali nad tem, ażeby młodego króla wraz z żoną albo na Mazowsze lub do Litwy wyprawić. Zdala od Bony, od kochanki jaką tu ma, pozna lepiej Elżbietę i przywiąże się do niej. Króla starego nie drażnij, a wojny nie wypowiadaj zawczasie.

— Mnie się zdaje—rozmiał się Marsupin—że Bona zbyt jest przebiegłą, aby już jej nie czuła w powietrzu, a mnie z oczu nie wyczytała, iż się oszukać nie dam.

— Jeżeli król stary was przyjmie—dodał Boner—pokłoniwszy mu się, choćbyście nie chcieli, musicie prosić o posłuchanie u królowej matki, aby jej nie obrazić.

Sklonił się Marsupin.

— Nie ulękne się tego—dodał.—Wiedziałem wyjeżdżając z Pragi, co wziąłem na ramiona. Pobyt mój tutaj słodkim nie będzie.

Następnego dnia król Zygmunt przyjmował Marsupina; ale było to posłuchanie czysto urzędowe, grzeczne, zimne, na którym nie mówiono o niczem. Dowiadywał się stary o zdrowie króla, o rodzinę, pytał o nowiny dworu cesarskiego, rozmawiał o rzeczach obojętnych.

Nie dotknięto nie drażliwego, a Włoch po sobie nie okazał jaką miał troskę na sercu.

Gdy tegoż dnia wieczorem Bona rozgorączkowana wpadła do męża, domagając się bez ogródki wypędzenia Włocha, zowiąc go szpiegiem i zdrajcą, król Zygmunt przyjął to niechętnie i kwaśno, i rzucił jej w oczy, że się ludziom okłamywać dawała.

— Włoszysko jakieś pokorne, o złem nie myśli—rzekł—i co go masz zniewiecać, lepiej pozyskać dla Izabelli. Niech powróciwszy popiera jej sprawę u króla Ferdynanda.

Napróżno usiłowała Bona króla nawrócić na swe obawy—Zygmunt słuchać nie chciał.

Marsupin siedział uparcie i ani myślał się ruszać z Krakowa; wypędzić go nie było podobna, a pobyt ten do najwyższego stopnia gniewał i niecierpliwił królowę.

Mówiła tylko o nim, nie myślała tylko o środkach pozbycia się.

— On tu wszystkie kłamstwa i potwarze pozbiera i będą nam niemi wykałać oczy.

Szpiegi nasadzone chodziły krok w krok za Włochem, donoszono, że przesiadywał to u Bonerów, to u Decyuszów, to u biskupa Samuela, to u Andrzeja z Górki.

Kilka razy spróbował przebojem do królowej Elżbiety się weisnąć—Opaliński mu drzwi zamknął. Znajdował zawsze mniej więcej słuszną wymówkę, dla której teraz się z królową widzieć nie było można.

Marsupin dopytywał, kiedy mu to będzie dozwo-lonem.

Marszałek ubolewał, że czasu nie mógł oznaczyć.

Z jednej strony opór, z drugiej naleganie nie ustawały z równą wytrzymałością.

— Mam czas — mówił kłaniając się Marsupin — będę czekał aż się z królową rozmówię mi będzie wolno. Nie wyjadę przecie inaczej.

Gdy się to działo, dnia jednego nadbiegł zatrważający goniec z listami od królowej Izabelli. Błagała ona matkę, aby korzystając ze stosunków z królem Ferdynandem, starała się opiekę jego i pomoc uzyskać dla wdowy i sieroty.

Ze wszystkich dzieci swych Bona może najczulej kochała Izabellę, najgoręcej się losem jej zajmowała. Całą miłość macierzyńską, na jaką się zdobyć mogła, przelewać się zdawała na to jedno swe dziecko, bo syn pieoszony był tylko dopóki go sobie podbić chciała i spodziewała się,

Odebrawszy listy Bona pół dnia łamała ręce, nie wiedząc co czynić. Jedno z dwojga: potrzeba było albo zmienić postępowanie z Elżbietą, lub poświęcić Izabellę.

Ale oddać Zygmunta Augusta, którego słabość znała, żonie, znaczyło abdykować zawczasu.

Miłość dla dziecka przeważała interes własny.

Królowa musiała chwilowo choć spróbować dwie nieprzejednane sprawy pogodzić z sobą.

Do późnej nocy trwały narady z Gamratem.

Arcybiskup, nie ten już co był niegdyś (mówiła o nim Bona), smutny ciągle, ustygły, nie biorący nic do serca, skarżący się na zdrowie coraz gorsze, potakiwał, nie radził.

Był jednak za tem, aby starać się pozyskać Marsupina.

— Mówią, iż ma ucho i wiarę u króla swego — dodał — choć człek mały, lekceważyć go nie można.

— Ale wiem, że się kupić nie da! — wykrzyknęła królowa — a gdy to niemożliwe, to zdradzi!

Właśnie gdy się toczyły te narady, Włoch poszedł

za wskazówką Bonera i królowę Bonę o posłuchanie prosił.

Oświadczył mu marszałek, iż chętnie przyjęty zostanie.

Królowa pragnęła wystąpić dosyć wspaniale, kazała się przystroić służbie, karłom, fraucymerowi. Sama wdziwała najpiękniejsze klejnoty, komnatę obrała najokazalej przyozdobioną. Synowi naostatek poleciła, aby był przy niej czasu posłuchania.

Występowała z całą dumą królewską w majestacie.

Marsupin odziany czarno, z łańcuchem od cesarza, na którym był wizerunek złoty Karola V, przyszedł z tą pokorą i uniżonością przesadzoną, niezmierną, która Bonę gniewała, bo niemal w niej widzieć było można szederstwo.

Zmierzyli się oczyma nieprzyjaciele. Bona nie dopuściła w rozmowie ani dotknąć nie drażliwego, żadnych żalów, żadnych wymagań. Natomiast rozpoczęła o córce i o królu, którego sobie dla niej zjednać chciała.

Włoch przyrzekał, ale zarazem usiłował przypomnieć królowę Elżbietę, lecz Bona ani słuchać nie chciała. Powtarzała jedno.

Zdawało się to jakby postawionym warunkiem targu i Marsupin tak zrozumiał. Chciał ze swej strony też położyć za warunek inne obejście się z młodą królową. Bona nie rozumiała.

— Możecie zapewnić króla, że my nad powierzoną nam córką jego czuwamy jak nad własnym dzieckiem. Zdrowie jej niedobre, aleśmy temu nie winni, taką do nas przybyła.

I jak najprędzej natychmiast zagaiła o królowej Izabelli, prosząc Marsupina, aby sprawę jej popierał.

Włoch w końcu przyrzekając donieść co mu polecono, dodał, że nie był upoważnionym do mieszania w sprawę, do których innych pośredników użyćby należało.

Całe to posłuchanie upłynęło na szermierce słów

próżnej, bo ani Bona sobie mogła pochlebiać, że pozyska Marsupina, ani że on ją rozbroi.

Zamiast zbliżenia rozmowa pozostawiła po sobie gorzkie wspomnienia.

Gdy po wyjściu Włocha królowa się znalazła sama z arcybiskupem, zawołała gniewna:

— O! król Ferdynand umiał dobrze wybrać posła! Zaprawdę życzyłabym sobie mieć takiego sługę, ale pozbyć się go jako szpiega, jako najniebezpieczniejszego intryganta... konieczna!

Nie będziemy mieli pokoju, dopóki on tu pozostanie. Precz z nim! precz z nim! Co to za wejście bazyliżka, co za uśmiech, jaka podła pokora i udanie, a szederstwo drga mu na ustach.

Wieczorem u króla Bona ciągle mówiła tylko o Marsupinie, nie schodził jej z ust, aż Zygmunt musiał kazać milczeć.

— Dajże mi pokój z tym Włochem, robisz z niego większego niż on jest. U stracha wielkie oczy.

Po wszystkich tych audyencyach skończyło się na tem, iż Opaliński zakazał Włocha puszczać na zamek.

Jeżeli Marsupinowi udało się oszukać strażę i wśliznąć się między dworzan królewskich, którzy mu tak sprzyjali, że go nie tylko chętnie przyjmowali, ale gotowi mu byli pomagać, czujna Bona natychmiast zapobiegała przez kogoś ze swoich, aby dalej nad przedpokoję się nie dostał.

Widząc go tak zbiedzonym, biskup Samuel i hetman sądzili, że mu utrzymać się w Krakowie o własnym koszcie dłużej będzie trudno; chciał więc biskup łożyć nań, a inni się do tego przyczynić, ale signor Giovanni odmówił. Znajdował, że to dla pana jego uwłaczającym by było, gdyby sługa królewski cudzej potrzebował pomocy.

Ile biedny, zabiegliwy Włoch wycierpiał, co się nabiegał, jakich środków używać musiał, aby się rozwie-

dzieć o wszystkim i choć próbować móż docisnąć gdzie go nie puszczano, opisać trudno.

Niez mordowanym był w tej pracy, do której go i rzeczywista miłość dla młodej królowej zagrzewała.

Bona wiedząc o wszystkim powzięła ku niemu nienawiść nieubłaganą. Zaczęła od tego, iż staremu królowi codziennie głowę nabijała, iż żywił na dworze nieprzyjaciela, szpiega, potwarcę, donosiciela i że dla godności swej pozbyć się go był obowiązany.

Z początku król zbywał to milczeniem, w końcu znudzony, słysząc ciągle powtarzające się żale, dał się im uwieść i sam na Marsupina przed ks. Maciejewskim narzekać zaczął.

Nie przyjmował już Włocha, a król młody, bojąc się matki, ani go też chciał widzieć.

Młoda królowa, choć najmocniej życzyła spotkać się z nim, tak ją trzymano, otaczano, zamykano a Włocha odpędzano, że jej nawet zdaleka nie widywał, chyba w kościele, gdy w łoży mszy świętej słuchała.

Wszystek jego stosunek ograniczał się do tego, że przez Dudycza posyłał listy i przez niego je odbierał. Był więc doskonale uwiadomiony, co się działo na dworze młodych państw: że August zupełnie żonę zaniedbywał i że ją Bona jak niewolnicę strzegła, sługi jej mieniając, liczbę ich zmniejszając, w wielu rzeczach skapiąc i odmawiając wygód nawet, do których była przywykła.

Czas jakiś wytrwawszy na tem stanowisku poleconego Augustowi za tłumacza i sekretarza—Marsupin, widząc że najmniejszej przyjęcia nie miał nadziei, zrzucił w końcu maskę i głośno mówił, że był posłem króla Ferdynanda, przeznaczonym do pozostawiania przy osobie królowej Elżbiety.

Bona i o tem słyszeć nie chciała.

— Tłumaczów mamy dosyć, Elżbiety dwór pełen, nikogo ona nie potrzebuje, na donosicielach nie zbywa. Marsupin musi iść precz.

Tego znowu Włoch zrozumieć nie chciał i nie mógł. Starano go się pozbyć, on ani się myślał ruszać. Mieszkał u Montelupich. Napadano na nich, aby mu wymówili gospodę, czeggo oni uczynić nie chcieli. Wiele osób, z obawy prześladowania Bony, unikało go, ale przystęp do tych, do których miał listy polecające, do Bonera, Maciejowskiego, Decyusza, Górki, hetmana, został mu wolny. Tym nikt zabronić nie mógł go przyjmować, a Bony łask wcale się nie starali pozyskać.

Dudycz, który wiele miał do stracenia i obawiał się, unikał z nim otwartych stosunków, ale po nocy chodził do niego i pomagał mu. Tak samo Boner się nim gorliwie zajmował.

Wszystko to na niewiele się przydać mu mogło, gdy do nikogo już przystępu nie miał. Opaliński szczególnie trzymał go na oku i przez swoich śledził kroki, a do zamku nie dopuszczał.

Marsupin począł tedy coraz się jawniej dobijać, jako sługa i wysłaniec króla, tego czego mu odmawiano. Odzywał się bez ogródki z tem, iż na nowe listy czeka, a choćby rok tu miał siedzieć nadaremnie, odpędzić się nie da.

Donoszono Bonie, iż ciągle to powtarzał, że na Węgrzech królowej Izabelli oddadzą to, co tu Elżbieta cierpiała. Nie tał się i z tem, że do cesarza pisał nalegając, aby księstwa włoskie Bonie odebrał a komu innemu je nadał.

Choć napozór niby gardziła Bona temi pogroźkami, jednakże niepokój one obudzały. Lecz ustąpić dla nich duma nie pozwalała.

Całą więc siecią intryg opasano Marsupina, próbując czy niema słabostki jakiej, za którąby go pochwycić można. Na pieniądze, na wdzięki kobiet, na inne takie przynęty, Włoch się okazał zupełnie obojętnym. Miłość własna i przywiązanie do rodziny panującej dawały mu siłę i wytrwanie.

Krzętał się nieustannie, mówił głośno i otwarcie, a że każde jego słowo szpiegowie na zamek odnosili, Bona wiedziała iż szerzył pogłoski o jej prześladowaniu synowej i zniechęcał ku niej ludzi.

Nie pozostawało nic, tylko jakimkolwiek kosztem pozbyć się Marsupina! Bądź co bądź! Niełatwo jednak było to dokonać.

Włoch naigrawać się zdawał z pogroźek, coraz zarliwiej zabiegając i dając się czuć wszędzie. Na zamek już mu się nawet pokazywać nie godziło.

Nieustraszony we wszystkim, Włoch miał jedną słabą stronę: jak inni współcześnie wierzył on w czary i obawiał się ich.

Był przekonany, że władza Bony nad starym małżonkiem, nad synem i nad wielu jej zaprzedanymi nie innej miała źródło tylko—czary.

Wiedziano, że się często naradzała ze swym doktorem, astrologiem Włochem, który ciągle w tyglach smażył, a królowa do niego nawet późno w nocy z mniszką Maryną chadzała. Czyniono ją więc czerownicą, która napojami, pierścieniami, podarkami ludzi w moc swą zapręgała.

Marsupin za żadne skarby świata niebył od niej nie przyjął; ostrzegał innych, aby zetknięcia się z niebezpieczną czarownicą unikali.

Na mieście pospolity lud dość był skłonny w to uwierzyć. Widziano króla ulegającego jej z dziecinnością posłuszeństwem, syna którego na sznurku jako chciała prowadziła, Gamrata posłusznego ślepo, Kmitę dotąd nawet dającego się jej powodować, Opalińskiego naostatek, który jak ostatni ze sług czynił co kazała.

Chociaż cały czar Bony stanowiła silna jej wola i środki bardzo proste, jakimi sobie zyskiwała ludzi, było w istocie coś zdumiewającego w tej kobiecie cudzoziemce, samej jednej tu, słabej na pozór, której wszystko ulegać musiało.

Marsupin lękał się o życie nawet, bo od czarów do trucizny krok był tylko, a włoskim obyczajem wiedział, że i w ten sposób się pozbywano zawadzającego wroga. Trwoga ogarniała go jeszcze niemal większa o młodą królowę, dla której obawiał się także trucizny, jeśli nie w pokarmach i napojach, to bodaj w perfumowanych rękawiczkach, w tem co naówczas noszono na sobie.

Uspokajało go to jedno, że Elżbieta dotąd, z powodu choroby starego króla, jadła sama, osobno, a choć mąż, który powinien jej towarzyszyć, rzadko się pokazywał, ale podczaszowie i krajczy pokarmy próbowali podając.

Zalecał Hölzelinownie, aby na stół miała baczne oko, a podarków żadnych od starej królowej przyjmować nie dopuszczała.

Sama zresztą pocziwa piastunka, widząc się nieprzyjaciołmi otoczoną, czuwała dzień i noc nad swem dzieckiem ukochanem, nie mogąc wyjść z podziwienia nad tą siłą ducha, z jaką męczennica zносиła wszystko, nieprzyjaciołom nawet nie dając się ucieszyć wyrazem boleści... bo cudnie udawała wesołą i spokojną.

— Anioł jest!—wołała stara Kätchen—a nie wiem czy kiedy kobieta to zniosła co ona, z takim bohaterstwem. Klękać przed panią moją!

Wśród tej walki, którą Marsupin wiódł z zażartością swego włoskiego temperamentu, niespodziany zwrot nadać jej miały, na pozór żadnego z nią związku nie mające wypadki.

W drewnianem starem domostwie na Okolu, była od wieków już gospoda bednarska. Zamożnemu cechowi temu z dawnaby było przystało wybrać sobie inną pokątniejszą, bo budynek był na pół w ziemię zapadły, po-

podpierany z tyłu, a dach na nim wysoki i ciężki pogarbił się i powypaczał, lecz stary obyczaj trzymał tu towarzystwo. Nie chciało one przez jakąś obawę, niemal przesadną, przez przywiązanie do pamiątek, opuszczać tych progów, które nogi pokoleń wielu powyżłabiały.

W ogromnej izbie na dole, niskiej i ciemnej, mieściły się: tak zwany stół, skarb towarzyski i trunek. Tu się zbierano na rady, na wybory, na przyjmowanie czeładzi, wyzwalanie jej. Tu wędrowni towarzysze stawili się, aby ich wedle obyczaju przyjęto.

A kto «obyczajnie» (to jest wedle zwyczajów i form) żądał, temu się «stawiał obyczaj.»

Obok izby radnej, w komorze mieszkała wdowa po bednarzu. Raczkowa, która się zwała Matką i sprawiała obowiązki gospodyni.

Niemłoda już, przygarbiona sciatką, chadzała o kiju, stukając nim i butami kutemi, ale się poruszała żywo, a odpowiedzi na języku nigdy jej nie zabrakło, i co do niej należało, trzymała pod kluczem strzegąc pilnie.

W pierwszej izbie wielki stół zajmował miejsce główne, u przedniej ściany między oknami, nad nim krzyż Chrystusa i wielki obraz patrona cechu był zawieszony, ale dla starości na desce mało co, prócz złoceń, rozpoznać było można.

Oprocz stołu, przy którym nie wszystkim zasiadać było wolno, w kącie ławy były osobne dla trybownych, daclów i chłopców. Stały przy ścianach i szafy proste, w których różny sprzęt i znamiona zachowywano; była i skrzynia zamczysta, kuta, na przywileje, księgi i pieniądze, a na półkach stało kilka pyłem okrytych misternych drobnych wyrobów, owych majsterskich sztuk, któremi cech mógł się pochlubić choćby przed obcemi.

A było na nie warto popatrzeć, bo beczuleczki i baryłki drewniane, choć drewniane tak były wypieszczone, jakby je kunsztmistrz robił z czystego złota i obręczyki się na nich spletały, jakby ze lnianych plecionek nie z drewnianych gałązek.

W cechu bednarskim, jak podówczas w innych też rzemiosłach, wyrobił się już był obyczaj towarzyski, pewne formy, które już tradycją uświęcone musiał każdy znać, nauczyć się ich i przez nie przechodzić *).

Tu się towarzysz nowy, zarówno jak wędrowny dowiadywał, kogo miał czcić i szanować: naprzód Pana Boga z wszystkimi Świętymi, Najśw. Pannę z aniołami Bożemi, dalej pana ojca domu tego, z panią matką, dziatkami i czeladką jego, także gości przychodzących i odchodzących. Tu się uczył, że przychodzących witać należało pełnemi, a odchodzących słowy dobrymi, że w miejscach u stołu jeden drugiego podsiadać nie powinien (pod winą), ścian u pana ojca nie podpieierać (pod winą)—bo pan ojciec miał cieślę dobrego, co mu ściany dobrze pobudował; stołów sklenicami nie fugować, krzyżów na podnóżkach nie zakładać (pod winą), bo pan ojciec miał stolarza dobrego, co mu stoły dobrze pofugował—skłanie też tłuc nie było wolno, bez czapek za próg pierwszy wychodzić, w fartuszkach z orężem za stół siadać.

Uczono tu za stołem ani po łacinie, ani po węgiersku nie rozmawiać; obiecywano, że w cechu sprawiedliwość najlepsza, bo sprawa u wójta do tygodnia, u pana burmistrza do dwóch niedziel, a u towarzyszków do zachodu słońca. Przestrzegano, aby wracając do domu po wesołej wieczerzy, bram nie wysiekiwać (bo ręka w tem), przez mury ścieżek nie czynić (bo gardło w tem), po bruku szablą ani podkówkami nie krzesać (bo wino w tem), wieńców, które wiszą nad piwem lub winem nie obeinać (ręka w tem), beczkom, które stoją na mieście na miejską potrzebę obręczy nie rzezać itp. Takich, co po nocy chadzali, znajdowali się anieli stróże, którzy im oręż odebrawszy, do ciemnego raju zachowywali i t. p.

*) Wszystkie szczegóły wedle rękopismów źródeł cechowych.

Tu przypominano naostatek, jak poczynąć było potrzeba z trybowaniem kątek, szpontowaniem, frazowaniem, berowaniem, odbijaniem z baryłkami, konwiami, konewkami, wanienkami, donicami, trunkalami, garncami i t. p.

Wieczór nadchodził, izba radna dosyć była pełną, a gwar z niej aż na ulicę dolatywał. Starsi ojcowie kilku towarzyszków, kilkunastu młodszych i czeladź w kącie ciekawa zgromadzenie składała.

W pośrodku przed stołem wędrownik świeżo przybyły właśnie odbywał urzędową próbę, która poprzedzała przyjęcie do cechu.

Postawa jego, twarz, cera, wśród rumianych, żączywnych, silnych a barczystych starszych, przy towarzyszach, na których policzkach kwitły zdrowe rumieńce, dziwnie smutno odbijała.

Słuszny, wyrosły bujnie, młody wędrownik, który z Wielkopolski powracał wyzwolony do Krakowa, stał zbiedzony jak winowajca, niezmiernie blady, dysząc ciężko, za piersi się chwytając i za głowę, a mdłym, złamanym, chorym głosem odpowiadając na zapytania. Bładości tej i zmęczenia nie można było przypisywać tej próbie, jaką teraz przebywał towarzysz. Widać było z wycieńczenia, że przyniósł z sobą chorobę, z którą walczył całą siłą woli i młodości.

Chociaż niektórym ze starszych ojców żal było może biednego towarzysza, zmuszonego przechodzić uciążliwy obrzęd przyjęcia, uwolnić go od tego nie mogli.

Siły biednego wędrownika coraz bardziej zdawały się wyczerpywać, tak że zaledwie się już mógł utrzymać na nogach.

Znaczniejsza część pytań i odpowiedzi załatwiona została, ale pozostawały jeszcze niektóre.

Ojciec zadawał pytania, słuchali towarzysze i matka odpowiedzi głosem coraz słabszym dawanych, gdy

prawie w chwili, kiedy go miano «ująwszy za boże poszycie na wannę posadzić,» biednemu wędrownikowi naraz zupełnie tchu i siły zabrakło. Zachwiał się na nogach i zatoczył jak pijany, choć wiadano, że nie w ustach nie miał. Dwóch daclów podbiegło go za ręce pochwycić.

Przerwano próbę, bo nie było już odpowiadać komu. Błady ów wędrownik, gdy go chciano do ławy doprowadzić, padł ciężko na ziemię całym ciałem i jęczać począł.

— Panowie! ojcowie! księdza proszę! abym Bogu duszę polecił. Życie ze mnie uchodzi... Męki dalej nie strzymam.

Szedłem, szedłem dopóki sił stało, przebojem się wlokąc, abym nie umarł nigdzie jeno tu, gdzie ojciec leży i matka i gdzie ja chcę spocząć, na swojej ziemi... na swojej! Tum kolebkę miał, tu grób mieć chcę...

Uciekałem od moru, ale mnie nie poczcziwe dogoniło powietrze, bo taka snadź była wola Boża, której nie oprzeć się nie może.

Mówił powoli, cicho, jęcząc, a starszyzna z towarzyszami porwawszy się z ław obścapił go, załamując ręce, bo nigdy, jak gospoda gospodą, podobny się tu nie trafił przypadek.

Lecz gdy posłyszano z ust wędrowca wychodzące złowrogie wyrazy: mór, powietrze, o których już z różnych stron dochodziły wieści, zaczęli się wszyscy bojaźliwie usuwać i zmięszali a struchleli. Towarzysz Sylwek, chwyciwszy drugiego pod rękę, rzucił się zaraz po księdza do Franciszkanów, a ze starszyny jeden pomyślał o lekarzu, rachując, do którego bliżej było. Wszyscy zaś prawie mieścili się około zamku, bliżej Wawelu i przyśw. Annie a akademii.

Choć wedle ustawy a obyczaju cechowego bez czapki nie było wolno za pierwszy próg wychodzić, nie

zważał na to starszy Skulski, iż z włosami rozwianemi, łamiąc ręce znalazł się w ulicy przeciw gospody.

Wtem właśnie, jakby go tu sam Pan Bóg zesłał, zjawił się ów sławny Struś doktor, powracający od choroego. A oka jego nigdy nic nie uchodziło.

Przypadł więc ze swą powagą i odwagą doktora, za ramię chwytając Skalskiego.

— Człecz! co ci jest?

Skulski jako starszy cechowy, byłby może, choć w tak krytycznej chwili, zaprotestował, że go po prostu tak człkiem nazwano, ale poznał Strusia, a temu wiele było wolno.

— A! ojcie mój! — wykrzyknął. — Stało się u nas wielkie nieszczęście w gospodzie! Przyjmowaliśmy towarzysza wędrownika, który z Wielkopolski powracał. Krakowianin nasz jest, dziecko cechu. Wtem u przyjęcia zaniemógł, osłabł, padł i przyznał się, że od moru uciekał, więc mógł go przynieść z sobą.

Struś, nie nie odpowiadając, jak stał, na bok odsuwawszy Skalskiego, nie oglądał się już i biegł żywo ku drzwiom gospody, u których cała gromada czeladzi i daclów stała.

Rozepchnął ich i wbiegł śmiało do radnej izby.

Właśnie promień zachodzącego słońca, z za chmur się dobywszy, przez okno wpadł i oświecił leżącego na ziemi, wijącego w boleściach, posiniąłego wędrowca. Leżał w pośrodku sam, bo się nikt nie śmiał zbliżyć do niego.

Spojrzał Struś, podszedł tuż, przykląkł nad chorym i wpatrywać się w niego począł pilno.

Głosem dogorywającym umierający wołał.

— Wody!

Struś mu jej kubek podać kazał, bo miał tę pewność, że natura wie lepiej od lekarza, czego jej potrzeba.

Milczący, długo wlepiając oczy w tę twarz zsinia-

łą, na którą już nadchodząca śmierć kładła piętno swoje, naostatek załamał dłoń.

Wstał i na najbliższej ławie przysiadł, jakby i jemu sił zabrakło.

Dokoła stało towarzystwa lamentując, szepcąc, stękaając, ręce ku niebu podnosząc.

Struś po chwili ruszył się. Przypomniawszy sobie u Franciszkanów apteczkę i na kawałku papieru nakreśliwszy coś, biedząc kazał po lekarstwo. Ale z twarzy jego widać było, że nie bardzo ufał, aby ono na czas przyszło i pomódz miało.

Choremu jeszcze wyrazy urywane z ust się dobywały ciężko.

— Na swej ziemi umierać... na swojej ziemi leżeć.

Potem zaczął wzywać opieki Świętych i Matki Bożej, a ręką bezsilną chciał się w piersi uderzyć.

Nim z apteki lekarstwo przyniesiono, czeladź księdza od Franciszkanów prowadziła. Szedł śpiesznie z wiatykiem, dzwonkiem poprzedzany, a wszyscy po drodze klękali i schylali głowy.

Do niego też doszło straszne to słowo: mór. a wieział i pomniał Kraków dobrze co ono znaczyło, bo straszna ta klęska już go kilkakrotnie nawiedzała i opustoszała.

Lecz kapłanowi tak jak lekarzowi nie przystała obawa; bo jeden z nich rycerzem Chrystusa, a drugi żołnierzem miłosierdzia ludzkiego jest.

Przykląkł u boku umierającego kapłan i spojrzawszy na twarz ostatnimi drgnieniami życia dogorywającego, pośpieszył z rozgrzeszeniem i komunią.

Odżył nieco zapowietrzony, oczy mu się podniosły i wnet jakby powłoka mglista je zasnęła. Życie w tej chwili uszło w ostatniemu technieniu, a głowa kamieniem na podłogę opadła.

Struś zbliżył się do trupa.

Oznaki moru zbyt były jawne, aby mógł powątpiewać o nim. Zwrócił się do starszych nakazując.

— Ojcowie starsi, siebie i miasto ratujcie. Niech zwłoki nie leżą długo, aby domu, ulicy, a może i całej, uchowaj Boże, stolicy nie zapowietrzyły.

Co rychlej ślijcie po trumnę, po wóz i wywieźcie go na najdalszy cmentarz, a pogrzebicie jak najgłębiej... odzież i rzeczy z nim.

Pod wrażeniem strachu, jaki mór sprowadzał, towarzystwo i czeladź poruszyły się żywo, śpiesząc spełnić rozkaz doktora. Matka gospody w drżących rękach niosła już zapalone kadzidło, oczyszczając niem mieszkanie, otwierano drzwi i okna.

Wynosili się bojaźliwsi, ksiądz tylko modlił się jeszcze przy zwłokach i Struś pozostał chwilę, smutnem, zadumanem wejrzeniem wpatrując się w umarłego. Zwrócił się potem ku miastu.

Tu wieść o wypadku w bednarskiej gospodzie błyskawicą obiegła już wszędzie, niosąc popłoch z sobą. Wieczorem przyniesiono ją na zamek do biskupa Samuela i na dworzec biskupi do Gamrata.

Nie pobięł jednak z tem nikt ani do króla, ani do starej królowej. Po twarzach dworu, po cichych szepetach i trwożliwym gromadzeniu się dworzan, poznać było można, iż umysły zaniepokojone zostały, a ludzie radzić sobie nie umieli. Nazajutrz w bliskości gospody mówiono o chorych i umarłych.

Strwożeni mieszczenie spotykali się, jedno mając na ustach: Mór! mór! — dokąd chronić się przed nim?

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Muzeum
JIK
ROMANOWNE
300

